Szanuj książkę!

Książka mówi do Ciebie:

Jestem **własnością ogółu,** bo ze składek publicznych mnie zakupiono.

Kto mnie niszczy, **krzywdzi społeczeństwo.**

Dla tego obchódź się ze mną uczciwie, **nie plam mnie, nie niszcz, zawiń okładkę moją w czysty papier** i nie przetrzymuj mnie dłużej, jak rzeczywiście potrzebujesz.

POLACY
w Ameryce Północnej

OPRACOWAŁ

Ks. Józef P. Chodkiewicz.

WARSZAWA—DORPAT—1914.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „NASZE KOŚCIOŁY".
Druk Piotra Laskauera, Marjensztad 8. (Dom własny).

Kilka słów od redakcji „Naszych Kościołów".

Dziś przerwaliśmy ciężką, mozolną pracę zbierania pojedyńczymi atomami tego ogromu materjałów, mających stworzyć poważne dzieło „Nasze Kościoły". Do tych szarych pracowników, tworzących ten nowy „Kopiec", podobny do „Kopca Kościuszki", co ma być pomnikiem wiekowym dla naszych ziomków, zmęczonych pracą i walką z obojętnością do pracy społeczeństwa naszego, głos się odezwał: „Excelsior ad astra"—z dalekiej krainy z poza Oceanu. Tam zrozumiano tę mrówczą pracę, tam zadzierzgnięto te węzły miłości do wspólnej matki Kościoła i Polski. Jeden z wielkich działaczy na roli twardej, tych działaczy, co na obczyznę szedł ze swym ludem, by go ratować, bronić od zaniku — ks. biskup Rhode, pierwszy biskup Polaków w Ameryce, przysłał redakcji „Naszych Kościołów" swoje błogosławieństwo i zachętę do pracy. Nowe siły, polot orli, potęgę tytanów, co góry chcą przewrócić kamienne, poczuliśmy w sercach naszych, a to słowo pasterskie zbliżyło nas moralnie do celu, nadziei dodało, że tam sięgać będziemy, aż poza ocean—żeby obraz tej Polski katolickiej, Polski tułaczy był pełnym i dokończonym.



Ks. Józefat Fryderyk Żyskar, proboszcz dorpacki, redaktor „Naszych Kościołów".

I skromny szereg nasz powiększył nowy pracownik, wypróbowany szermierz za Kościół św., pomimo, iż okolicznościami pozbawiony możności pracowania w kraju, ale dzielnie pracujący na obcej ziemi dla swego ludu. Ten nowy pracownik umożebnił nam objąć w ramki naszego wydawnictwa i Amerykę polską północną, przynosząc swe prace tym więcej cenne, że obeznany on jest i spojony z ludem naszym na tułactwie, sam tułacz oddany mu całem sercem. On nam przyniesie te piękne obrazki z życia Polaków w Ameryce, te barwne obrazki, które oprócz wartości swej, jak części tej całości Kościoła polskiego, będą miały ogromne znaczenie, jako dowód żywotności lu-

du naszego wtedy, gdy nie zrywa z swą matką Kościołem i mistrzem swym Panem Jezusem.

Puszczamy w świat to niewielkie dzieło, które ma w was, Rodacy, wzbudzić zaciekawienie waszymi braćmi za oceanem, zachęcić was do zaznajomienia się z rozwojem tam życia katolickiego i polskiego, by przyciągnąć serca wasze do wydawnictwa „Nasze Kościoły".

Nie wypada autorowi tego dzieła ks. Chodkiewiczowi, obecnie proboszczowi kościoła św. Kazimierza w Poznaniu w Ameryce, opisać samemu swego życiorysu, ale żeby zadzierzgnąć więcej ufności i miłości pomiędzy wami, czytelnikami i nowym naszym współpracownikiem, postanowiliśmy tu podać krótki życiorys tego działacza na niwie Bożej i swego ludu, który w ciągu niewielu lat potrafił zdobyć miłość rodaków i uznanie swej władzy duchownej.

Ks. Józef P. Chodkiewicz urodził się w Czemiernikach w Lubelskiem (Królestwo Polskie) dnia 19 marca 1883 roku, gdzie też ukończył miejską szkołę. Następnie przez kilkanaście lat kształcił się w Galicyi. Święcenia mniejsze otrzymał z rąk J. E. ks. Dr. Biskupa Karola Fiszera, sufragana przemyskiego, dnia 5 października 1905 roku. Po ukończonej wojnie rosyjsko-japońskiej Cesarz Mikołaj II ogłosił amnestję dla tych, co się do wojny nie stawili, a w r. 1905 wydał „Ukaz o telerancji religijnej", dlatego ks. Chodkiewicz odważył się wrócić w rodzinne strony i po wakacjach wstąpił do seminarjum żytomierskiego, przyjęty doń przez ś. p. ks. biskupa Dr. Karola Niedziałkowskiego. Po różnych przejściach z rządem, nie mogąc uzyskać zatwierdzenia nawet i w seminarjum saratowskiem, cieszącem się przywilejami, na odgłos echa o konsekracyi pierwszego polskiego biskupa Pawła Rhodego w dniu 29 lipca 1908 (kiedy to „przychylnie dla Polaków przemawiał ks. Arcybiskup Irenald), zgłosił się ks. Chodkiewicz do arcybiskupa Irenalda i przyjęty przez rektora P. Heffrona D. D. do St. Paui-s Seminary, przybył do Ameryki jesienią 1908 roku.



Śródmieście w Milwaukee.

Za staraniem Przew. ks. E. Kozłowskiego przyjęto ks. Chodkiewicza do Grand Rapidskiej djecezji, wyświęcono na subdjakona, potem na djakona i wreszcie 28 grudnia 1909 ro-

ku na kapłana w katedrze .św. Andrzeja w Grand Rapids, Mich. przez Najprzew. ks. Biskupa H. J. Richtera i przeznaczono zaraz na wikarjusza do parafji św. Stanisława, gdzie 1 stycznia Przew. ks. E. Kozłowski wyprawił mu wspaniałe prymicje. Następnie od 2 lutego 1910 dojeżdżał do kościoła misyjnego w Nine Mile, Mich., pracował też jakiś czaś w Standish, Mich., gdzie ks. Kozłowski zorganizował parafję polską, pozostawał zarazem na stanowisku asystenta ks. Kozłowskiego.

Wkrótce widzimy ks. Chodkiewicza jako pracownika wytrawnego i gorliwego w parafji św. Dominika w Metz. Z całą gorliwością oddaje się on pracy nad ludem—nie mogąc pracować w kraju swoim, całem sercem oddaje się on ludowi na tułactwie i w krótkim czasie zdobywa wybitne stanowisko wśród kleru polskiego. Szeroko rozgałęziła się jego praca, bo widać nauka jego mistrza ks. Kozłowskiego trafia na podatny grunt.

Widzimy go pracującego i w stowarzyszeniach, i w szkole, i w piśmiennictwie, a prace te coraz większe zataczają kręgi.

Władza potrafiła ocenić jego zasługi i daje mu czysto polską parafję, jedną z większych w stanie Michigan, składającą się z przeszło 400 rodzin. Liczne towarzystwa, szkoła 8-klasowa z internatem, kierowana przez siostry Felicjanki, rozszerzają granice jego pracy.

Nie przestaje on pracować w piśmiennictwie. Jemu polecił zjazd księży rodaków prowadzenie wydziału statystycznego kościołów i szkół polskich, więc ogromne znaczenie będą miały dla nas jego prace w tym kierunku. Ożywi on „Nasze Kościoły", da większy polot naszej myśli, odkryje przed nami wielkie horyzonty katolicyzmu i polskości w Ameryce. Witamy więc nowego współpracownika w imię Boże z rozwartemi ramiony, miłością braterską przyjmujemy do naszego grona i pragniemy, byśmy najdłużej i z największym pożytkiem dla Kościoła i Ojczyzny mogli razem pracować i dokonać tego wielkiego dzieła—zobrazowania „Naszych Kościołów" w Ameryce Północnej.

Przy sposobności śpieszymy podzielić się z czytelnikami tą radosną nowiną, że już na ukończeniu znajdują się pertraktacje z drugim pracownikiem, który ma nam umożebnić zobrazowanie „Naszych Kościołów" w Brazylji, ale tymczasem, nim zupełnie będzie zakończona ta sprawa, musimy zachować nazwisko tego współpracownika przy sobie.

REDAKCJA.

Słowo wstępne od autora.

Pisząc książeczkę „Polacy w Ameryce Północnej", chciałbym tylko zwrócić uwagę na Polonję amerykańską, którą w starym kraju tak mało dotychczas się rodacy zajmują i traktują ją prawie po macoszemu.

Dziwne też mają tam o nas pojęcia i dlatego takowe muszą być sprostowane, albowiem jednakowe tu i tam mamy przed sobą zadanie: wspólnemi siłami dążyć do odrodzenia narodowego.

Pierwszorzędnymi pionierami ku temu w Ameryce, jak to zwykle było w historji cywilizacji świata, są kapłani polscy. Stąd trzeba koniecznie poznać siłę duchową kleru i ludu roboczego w tym kraju, aby mieć pojęcie o całokształcie społeczeństwa polskiego na dobrowolnem lub przymusowem wygnaniu poza oceanem, czyli w tej 4-ej dzielnicy polskiej.

Ponieważ dzisiaj naród nasz nigdzie niema całkowitego własnego rządu, który by go jednoczył, bronił i tylko parafje polskie i litewskie-katolickie są jedynym węzłem, jednoczącym i cieszącym nas w niedoli, przeto te drogie i zawsze w historji wielkiej naszej Ojczyzny w poszanowaniu pozostające pomniki powinny być należycie poznane i ocenione. Jedyne źródło ku odrodzeniu są kościoły, o tem nikt w Polsce i na obczyźnie nie wątpił. Zachodziły pomyłki, budowano nawet różne narodowe bożnice i zbory, aby prawdziwe siedliska wiary i narodowości zastąpić, lecz te prędko znikały, lub zginą niezawodnie, gdyż potrzeby serca i rozumu naszego ludu należycie nie mogły być zaspokojone. Prawdziwą wolność, którą kochamy i rzetelny patrjotyzm czerpać można tylko z wiary Chrystusowej! Stąd potrzeba wielka, abyśmy nasze świątynie hitorycznie pierwsze miejsce zajmujące w potrzebach całego społeczeństwa, należycie poznali i odrysowawszy je na papierze, ludowi naszemu pokazali.

Giną w pomrokach czasu sławne i kosztowne kościoły i klasztory wraz ze szkołami, przez królów i szlachtę polską i lud fundowane, a ledwo tu i owdzie zachowują się ich mury starożytne. Na obcych ziemiach wygnańcy z krwi i potu własnego stawiają za składkowy „grosz wdowi" piękne kościoły, a tych także każdy ujrzeć nie może, bo nie możemy przecież w tak biednych warunkach zostając, wydawać pieniędzy na podróże zagraniczne. Dlatego Czcigodny i zasłużony ks. Józefat Żyskar w Dorpacie przedsiewziął wspaniałe dzieło, redagując „Nasze Kościoły" zeszytami. Ja zaś przystąpiłem do redakcji, aby to samo uczynić w Stanach Zjednoczonych, wydawać illustrowane opisy polskich i litewskich kościołów oraz cerkwi rusińskich obrządku grecko-katolickiego w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Aczkolwiek mam materjału dosyć do wydania takiego dzieła, opracowując podręczną „Encyklopedję parafji polskich, litewskich i rusińskich ob.

gr. na całym świecie" wraz z przewodnikiem polsko-katolickich organizacji, klubów, pism, instytucji, handlu i t. d., aby była użyteczna jako przewodnik adresowy dla każdego, to jednak redagowanie wydawnictwa „Nasze Kościoły w Ameryce", których jest po różnych djecezjach w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie przeszło 800, napotyka na większe trudności, niżby to przypuszczać można.

Przy dobrej woli polskiego kleru da się przełamać wszystko i pragnę jaknajprędzej załatwić formalności techniczne, a potem rozeszlę osobne kwestjonarjusze do kapłanów polskich, aby podali dokładnie historje parafji cej szczegółowo opracowane, gdyż to przewodnik nieodzowny dla każdego kapłana, a nawet inteligentnego Polaka przemysłowca, aby wiedział nietylko, gdzie są kolonje polskie, ale i wartość oraz siłę ich z prawdziwego źródła mógł poznać.

Że takie dzieło potrzebne, wystarczy wspomnieć niektóre odpowiedzi z ankiety przezemnie ogłoszonej.

Ks. arcyb. Wł. M. Zalewski, Delegat Apostolski Indji Wschodnich w liście do mnie datowanym z Kanady Ceylon 28 lutego 1913 r., pisze pomiędzy innemi: „Radbym widzieć statystyki zbiorowe polskie, o których tu jest mowa; sprawy te bardzo mnie zajmu-



Nacjonalny Bank w Milwaukee.

i filji im powierzonych. W ten sposób każdy proboszcz faktycznie będzie autorem opisu swej parafji. W tym roku opracowaliśmy wspólnemi siłami „Kalendarz kościelny" czyli „Dyrektorjum parafji polskich" wraz ze wszystkimi szczegółami i statystykami, które naprędce można było zebrać i „Biuro Uniwersum" (Warszawa ul. Nowowiejska 9) już takowe sprzedaje. Obejmuje ono prawie cały świat katolicki, uwzględniając szczegółowo kościół polski w kraju i na obczyźnie.

W następnem wydaniu będzie więją". Nadto są rady dla Ameryki stosowne. Red. *Przeglądu Katolickiego* w Warszawie 28 grudnia 1913 r. pisze: „Rzecz byłaby nader pożyteczna, po wyjściu „Encyklopedji"... Skład główny na Królestwo Polskie chętnie weźmiemy". W *Dzienniku Chicagowskim*" z d. 14 sierpnia 1913 r. ks. F. Gordon, C. R. Zarządca pisze: „Encyklopedyczny podręcznik parafji polskich po całym świecie to rzecz bardzo pożądana. Sądzimy też, że podobne wydawnictwo powinno się drukować w Europie".

Ks. Adam Akko, redaktor *Wiado-*

mości Kościelnych w Petersburgu 29 września 1913 r. pisze: „Bardzo mi się podoba myśl wydania „Encyklopedji ilustrowanej parafji polskich... po świecie z adresami" oraz dalsza praca „Nasze Kościoły", aby objąć całokształt wszystkich potrzeb naszej ubogiej w te rzeczy literatury. W czem możemy, będziemy dopomagać".

Stan. hr. Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności w Krakowie 6 października 1913 r. zaznacza, iż chętnie samby się do tego przyczynił, aby brak w tem piśmiennictwie uzupełnić, ale za wiele ma już pracy w redakcji *Przeglądu Powszechnego* w Krakowie". W liście z d. 23 października 1913 r. pomiędzy radami dodaje: „Bardzo użyteczne byłyby to dzieło, podaję adresy, które księdzu mogą się przydać w tej sprawie... Najlepiej wydawać osobno, aby objąć treść i całokształt rzeczonej pracy. Ks. Pawelski T. J. (prof. Uniw. Jag.).

Bardzo przychylnie odezwała się redakcja organu kapłanów archid. gnieźnieńsko - poznańskiej, konsystorze djecezjalne w kraju, przesyłając pożądane materjały, a zatem tylko wykonać przedsiewzięcie. Firma drukarska także się zgłosiła i podejmie się wydawnictwa w Warszawie.

Wydając ulotną broszurę, chcę prosić ludzi dobrej woli o pośrednictwo i dalsze głosy w tej kwestji i jeśli coś użytecznego kto zauważy, aby był łaskaw mnie uwiadomić. Świeckich panów, którzy prowadzą katolicko-polskie interesa, lub przemysł uczciwy, również się prosi, aby się zgłosili w sprawie ogłoszeń z pomieszczeniem małych ilustracji swoich firm, lub handlu i t. d.

Ks. Józef P. Chodkiewicz.

U. S. of. N. America
Poznań Mich.
Dnia 24 Stycznia 1914 r.

ROZDZIAŁ I.

EMIGRACJA, JEJ PRZEBIEG I CHARAKTER.

Od chwili odkrycia Ameryki nie przestawały narody wysyłać do niej zbyteczne elementy, narosty. Dążyło tam wszystko, co nie mogło się pogodzić z miejscowemi prawami; dążyli tam ci, co chcieli bez wielkiej pracy wzbogacić się.

Mamiły do siebie ogromne pustynie amerykańskie, bogactwa ukryte czy to w lasach, czy to w ziemi i dzikie pustkowia napełniały się przybyszami.

Dążyli tam ci którym ciasno było w starej Europie. Rosła w kraju liczba ludności, a ziemi nie przybywało, drzew dziewiczych lasów, na wyciętych dolinach budowali naprędce jakieś schroniska i mozolnym trudem przygotowywali grunt do pracy rolnej.

Ginęło mnóstwo emigrantów w walce z chorobami i dzikiem zwierzem, ale pustkowia zapełniały się mieszkańcami. Jechali tu poszukiwacze chleba z rozmaitych stron, jechali nędzarze najwięksi, jechali ci, którym w kraju rodzinnym okoliczności wydarły z rąk kawał zagonu własnego.

Jechali mieszkańcy wszystkich krajów, mieszali się między sobą, opuszcze-



Nacjonalny Bank w Milwaukee.

więc nie było gdzie rolnikowi pracować, mały szmat ziemi nie dawał utrzymania jego rodzinie.

Przedewszystkiem więc dążyli ci, co dobrobyt sobie zapewnić chcieli. I nie było siły ludzkiej, któraby potrafiła powstrzymać te rzeki ludzi, co jechali do Ameryki po chleba kawał.

Nie łatwe były dla nich czasy—z siekierą w rękach, z motyką, musieli oni przebijać drogę wśród rozłożystych ni przez wszystkich, nasi rodacy nie mogli nawet korzystać z obsługi nielicznych wtedy kapłanów, nie rozumiejących ich mowy, obcych im duchem.

I tyle ginęło tam, tyle się wykoszlawiło. Ciężka walka z dziką naturą podrywała siły i zdrowie, a wpływy obce zabijały wiarę i przywiązanie do kraju. Ci, co lud swój kochali, z rozpaczą patrzyli na ten ruch. Ani kapłani, ani pracownicy społeczni nie byli w stanie

wstrzymać tej fali ludu, więc obmyślano inne sposoby do wyratowania rozbitków. Wierni przyjaciele ludu—kapłani poszli za nim. Tam, za oceanem, zaczął się kler polski tworzyć, w najlichszych mieścinach, narażony na choroby zakaźne, na klimat zabójczy, na niezmiernie ciężkie warunki egzystencji, wytrzymał on walkę z przeszkodami i wytrwał na posterunku, a lud tułaczy pozyskał obrońców i kierowników.

Tworzyły się parafje polskie, szkoły polskie, piśmiennictwo, księgarnie, i drukarnie już dawały całe stosy książek ludowych, zastępując te przesyłane z wielkimi kosztami i trudnościami książki i pisma z kraju. I już ta obczyzna przestała być straszną. Towarzystwa Emigracyjne brały lud w opiekę przed wyzyskiwaczami, towarzystwa najrozmaitsze łączyły lud i tworzyły z niego jedną masę żelazną, niezłomny nie dający się porwać przez tego potwora strasznego, co się obczyzną zowie, nie dał już sobie lud wyrwać wiary i miłości do mowy ojczystej i do swej Polski. Czuł lud, że on polski i katolicki, a coraz to ciaśniejsze węzły go z krajem łączyły.

Przyczyny, które się składały na utworzenie ruchu emigracyjnego, były najrozmaitsze.

Dążność do zajęcia coraz to większej przestrzeni ziemi była zawsze wrodzona każdemu narodowi, a była ona przyczyną tylu wojen, tylu pokojowych zaborów, aż nareszcie wylała się w emigracji.

Szczególnie dało się to zauważyć wtedy, gdy terytorjum zajęte przez naród już stawało się za ciasne, już łany jego kraju nie dawały dość środków do życia bardzo licznym mieszkańcom.

Nareszcie w każdem społeczeństwie były elementy niespokojne, burzliwe, niezadowolone z warunków życia, stąd wyjście ich z kraju, poszukiwanie na obczyźnie lepszych warunków egzystencji.

Wielu też zmuszały do emigracji walki partyjne, nieporozumienia polityczne i religijne—to wszystko tworzyło emigrację w mniejszych czy większych rozmiarach.

Tem daje się wytłómaczyć takie zjawisko jak wyprawy argonautów, wyjście ludu izraelskiego z Egiptu, masowe przesiedlanie się do Polski żydów w czasach prześladowań ich w innych państwach.



Wjazd okrętów w Milwaukee.

W wieki średnie, gdy formowały się nowe państwa, nowe społeczeństwa, widzimy bardzo słabą emigrację. Proces wewnętrzny formowania się państw paraliżował emigrację, tworzyła się kolonizacja wewnętrzna.

Ogromny przełom w dziejach emigracji stanowi odkrycie Ameryki. Doskonale zorganizowane wychodźtwo Anglików robi próbę przeniesienia społeczeństwa europejskiego na nowe grunty.

Do swej potęgi dochodzi emigracja angielska w początkach XVIII-go wieku. Trzeci okres zaczyna się około roku 1815. Wstrząśnienia polityczne rzucają do Ameryki całe tłumy, a potem kryzys ekonomiczny, trudność znalezienia zarobku, drogie życie poruszyło ludzi—i można było z liczby wychodźców z pewnej prowincji sądzić o stanie jej ekonomicznym o dobrych czy złych stosunkach politycznych.

Pierwsza grupa krajów: Anglja, Niemcy, Szwecja, Norwegja, Danja, Holandja, Szwajcarja, dostarczyła $3/4$ emigrantów i skierowała ich do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Druga grupa: Włochy, Hiszpanja, i Portugalja—dostarczają wychodźców Ameryce południowej—Brazylji, Argentynie i Urugwajowi.

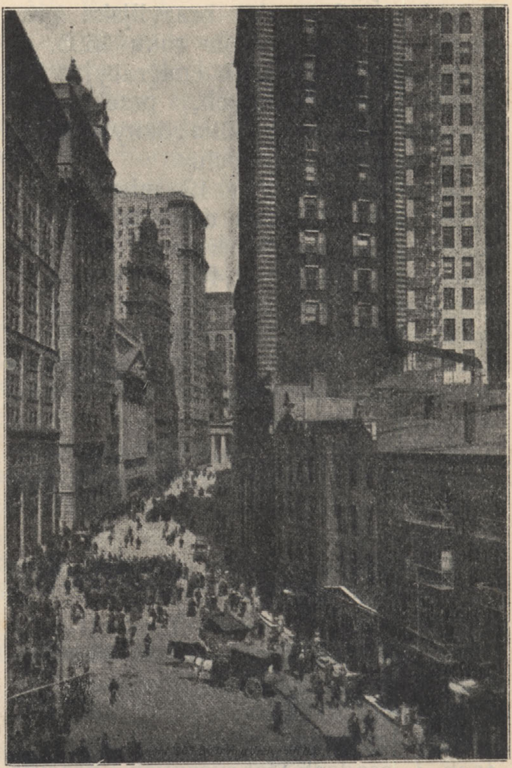
Trzecią grupę tworzą: Francja i Belgja. Tu wychodźtwo bardzo słabe i nie ,kierowane do jakiejś jednej krainy.

Czwartą grupę stanowią: Rosja i Austrja. Ta grupa niejednolita narodowościowo, niejednolity ma charakter. Austrja po części da się zaliczyć do pierwszej grupy, za wyjątkiem Galicji, która dużo daje emigrantów Brazylji; Rosja po części kieruje ruch emigracyjny do Syberji. Co się tyczy Królestwa Polskiego, to jego ruch emigracyjny nie przybrał jeszcze pewnej formy, pewnego typu.

Z czasem wytworzyły się z wychodźtwa dwa odrębne typy: wychodźtwo zamorskie i zarobkowe w granicach Europy.

Liczne tak w jednym, jak i drugim widzimy elementy polskie. Początkowo zaczęła się rozwijać silna emigracja polska w Prusach Zachodnich i w W. Ks. Poznańskiem.

Szczególnie ruch ten opanował ubogie, nieurodzajne powiaty na zachód od Wisły. W Poznańskiem ruch ten trwał głównie lat 10. Od roku 1880 rozwinął się on bardzo, tak, że w tym okresie doszedł do takiej potęgi i pochłaniał cały przyrost naturalny ludności. Przeciętnie na tysiąc mieszkańców zabierało wychodźtwo 13,7 w Prusach Zachodnich i 13,1 w Poznańskiem. Z tej rzeszy ludu dwie trzecie emigrowało do Ameryki.



New York.

Od roku 1890 ruch do Ameryki zmniejszył się znacznie, lecz spotężniał do głębi Niemiec. W okresie od 1882 do 1895-go roku w Prusach wschodnich i Poznańskiem ludność polska nietylko nie wzrosła, ale zmniejszyła się o 41 tysięcy.

W Królestwie Polskiem wychodźtwo nie było tak znaczne. Wzmogło się

ono bardzo w roku 1876 z przyczyny przesilenia przemysłowego, wywołanego dokonaniem zmiany drobnego przemysłu tkackiego na wielki. W roku 1890 rozpoczyna się gorączka brazylijska, dziś rozwija się bardzo wychodźtwo sezonowe do Prus. Ostatni ruch ogranicza się do gubernji sąsiednich z granicą pruską. Niestety, niemałe też jest wychodźtwo na Syberję.

W Galicji w latach od 1880 do 1890 rozwinęło się wychodźtwo do Ameryki Północnej, później widzimy rzesze tułacze, dążące do Niemiec, Węgier i Rumunji, a nareszcie do Królestwa Polskiego. Gorączka brazylijska grasowała w Galicji około roku 1895.

Jak wielki był ruch emigracyjny do Stanów Zjednoczonych, przekonamy się, gdy weźmiemy kilka danych urzędowych statystycznych.

Więc w przeciągu 12 miesięcy od lipca 1910 do końca czerwca 1911 roku przybyło do Ameryki Półn. polskich emigrantów 71,446. Razem emigrantów różnych narodowości 878,587, w tej liczbie 17,724 Rusinów, 17,027 Litwinów, i 91,223 żydów. Poprzedniego roku liczba emigrantów Polaków wynosiła 128,348 na ogólną liczbę 1,041,570 różnych narodowości. Ogólna liczba Polaków, mieszkających stale w Ameryce północnej, dochodzi do 3 miljonów.

Najwięcej naszych rodaków liczą następujące stany:

Pensylwanja i New-York (Każdy około 500.000) Illinois (około 450.000), Massachusets (250.000), Wisconsin i Michigan po(225,000), New Jersey(200.000). Polacy mieszkają przeważnie po miastach i osadach fabrycznych, pracują jako robotnicy fabryczni i górnicy. Liczbę Polaków, osiadłych w mieście Chicago oceniają na 300.000, w New Yorku na 260.000, Buffalo — 80, Milwaukee i Detroit na 75 tysięcy.

Dużo przyczyn pchnęło lud do emigracji, a jedna z najważniejszych— brak wolności i krzywdy odczuwane przez lud polski w niektórych dzielnicach.

Niemało się przyczynił naturalny wzrost ludności. Rządy nie potrafiły, potęgując produktywność swoich krajów, zapewnić bytu tym przybywającym obywatelom, więc nastąpiło przeludnienie, powodujące głównie emigrację.

Odegrał też swoją rolę i rozwój kultury. Kultura powoduje wzrost potrzeb życiowych, wymagających wzrostu dobrobytu. A ponieważ nie dawał tego kraj ojczysty, więc szukał lud tego na obczyźnie.

Doskonałą ilustracją tej prawdy było wychodźtwo w Poznańskiem i w Prusach zachodnich. Tu wszystko składało się na wytworzenie emigracji. Ludność mnożyła się, widzimy w tych krainach największy przyrost naturalny ludności w całej Europie. Postęp oświaty przyczynił się do stworzenia nowych potrzeb życiowych. Nie korzystnem było dla przemysłu i położenie geograficzne kraju. Granica odcinała kraj od wschodu—a z zachodu otwarta droga dla przemysłu niemieckiego paraliżowała wzrost przemysłu miejscowego, któryby mógł zapewnić byt przyrastającej ludności.

W Niemczech przeciwnie—rosnący szybko przemysł potrzebuje licznych robotników, nic więc dziwnego, że tam dążą nasi rodacy.

W Austrji znów dzielnice polskie są najbiedniejsze, więcej ona ma mieszkańców, niż może wyżywić, szybkie stosunkowo podniesienie kultury pod wpływem autonomicznej formy rządów, jeszcze więcej pomnaża potrzeby życiowe.

ROZDZIAŁ II.

POŻYTEK CZY STRATY DAJE NAM EMIGRACJA?

Z dwóch stron możemy zapatrywać się na to zjawisko— ze strony materjalnej i ze strony moralnej. Kilka słów chcemy wypowiedzieć o stronie materjalnej tego ruchu.

Trudno policzyć czy straty czy zyski materjalne daje krajowi ruch emigracyjny, ponieważ zależy to bardzo od wielu okoliczności.

Bezwątpienia nie możemy nie uznać, że stratą jest, gdy odpływa z kraju tyle jednostek w sile wieku, z których każdy reprezentuje pewien kapitał włożony w niego w postaci kosztów utrzymania i wychowania—w czasie tym gdy on jeszcze nic nie dawał społeczeństwu.

Emigrują wszak nie starcy i niedołężni ludzie, ale ci, co mają w sobie dość siły i możność do pracy. Emigrują nie nędzarze, ale ci, co mogą ponieść koszta podróży. Wszak te sumy, które wywożą z kraju emigranci, stanowią dość znaczny kapitał—stracony dla kraju. Z drugiej znów strony, wyjeżdżając z kraju, opróżniają placówkę, na której może pracować kto inny—co też ma znaczenie przy przeludnieniu. Stosunki zarobkowe przez to polepszają się.

Trudno orzec, co jest większe—straty czy korzyści—zależy to przedewszystkiem od licznych warunków, zależy od tego, czy jest zorganizowane wychodźtwo systematyczne, czy tam właśnie się rozwija, gdzie jest niezbędne, czy produkcja w danej miejscowości czy kraju jest taka, żeby mogła nie odczuć odpływu sił roboczych.

Niestety, nie wszędzie tak bywa. Naprzykład w Anglii wychodźtwo nienormalne do tego doprowadziło, że rolę poprzemieniano na pastwiska i wprowadzono hodowlę owiec.

We Francji masowa emigracja hugonotów spowodowała po części upadek przemysłu. W każdym razie emigracja wskazuje, że nie wszystko jest w danej miejscowości w porządku, że nie wszystko normalne. W nomalnie rozwiniętem społeczeństwie wzrostowi ludności towarzyszy wzrost produkcji, wzrostowi potrzeb życiowych—wzrost środków ku ich zaspokojeniu.

Zwiększenie się emigracji w krajach polskich jest najlepszym dowodem, że tam państwo nie jest w stanie zapewnić ludności normalnych warunków egzystencji i rozwoju.

Dla poznajomienia się z moralną stroną emigracji przytoczymy kilka kartek z broszurki ks. Żyskara p. t. „Kilka słów o poszukiwaniu chleba na obczyźnie", niestety, mało rozpowszechnionej w kraju.

Kilka słów o poszukiwaniu chleba na obczyźnie.

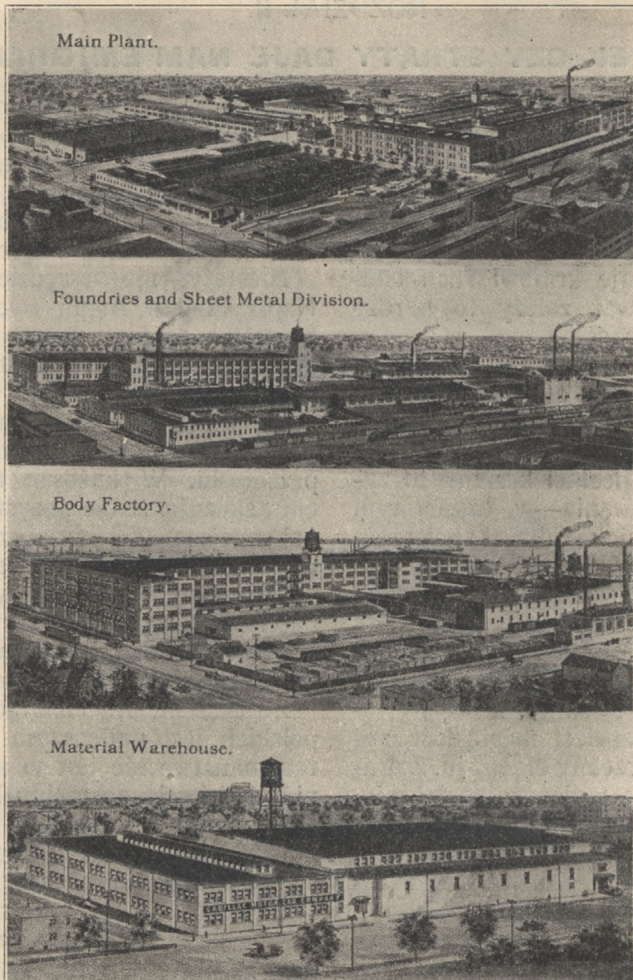
„Niech żyje emigracja, djabelska nasza rzecz!"
Konopnicka „Jasełka".

Tak określa wychodźtwo jedna z poetek naszych, co tak dobrze potrzeby naszego ludu odczuła. Rzeczywiście, chyba sam szatan tylko mógł wymyślić taką dla nas straszną klęskę, taką truciznę rzucić w wioski nasze, która tyle nieszczęścia nam wyrządziła i wciąż wyrządza.

Przywiązanie do tego miejsca, gdzie się urodziło, gdzie się żyło, gdzie złożone są prochy dziadów naszych— tak głęboko leży w naturze człowieka, że każdy czuje dziwny pociąg do swego kraju, ba, nawet jest pewna choroba, która się rozwija w człowieku, gdy długo na obczyźnie przebywa; uczeni ją nazywają nostalgją.

Roślina, gdy ją przeniesiemy do obcej ziemi, nie długo tam przeżyje—zginie bezwarunkowo. Dużo musi człowiek pracy poświęcić i dużo umiejętności, by roślina przyjęła się na cudzej glebie, w obcym klimacie. Dużo czasu przejdzie, nim zacznie dobrze i zdrowo rosnąć.

Zwierzęta do obcego klimatu prze-



Niektóre fabryki w Detroit.

niesione, chorują, mizernieją, tracą apetyt, nieraz nawet giną zupełnie. Rzadko udaje się człowiekowi przyzwyczaić zwierzę do obcego klimatu. Tęsknią one do paszy przyrodzonej, do wody rzeczek swoich, im i słońce na obczyźnie nie tak jasnem się zdaje.

Cóż dopiero człowiek, którego nie tylko materjalne względy łączą z jego krajem.

Który nietylko do rzek i pól tęskni, ale też do tych skarbów, tradycji, które w domu pozostawił.

Niejednakowo Bóg kraje swojemi dobrami obdarzył. Są kraje, gdzie skałami i piaskiem cała ziemia pokryta, a surowy klimat nie łatwym czynią trud rolnika. Tam on ciężką walkę prowadzi z naturą i nim z jej łona skarby wyrwać potrafi—dużo potu przeleje.

Są kraje, gdzie zdaje się Bóg w szczególny sposób swe dary udziela, a cały rok zielone i kwitnące pola dużo owoców przynoszą. Bo nawet kiedy u nas kryją się pola pod lodowym pokrowcem, śmierć i zniszczenie gdy zima sprowadza, tam kwitną drzewa i krzewy, bogatymi darząc człowieka zbiorami.

A jednak, gdy zamieszka mieszkaniec dzikiej północy w tym kraju kwitnącym, tęskni do swych skał i lasów,

do sosenek i mchów, mając przed sobą woniejące cytryny i pomarańcze. Wśród tych dywanów pól kwieciem upiększonych tęskni on po swojej surowej zimie i zdaje mu się, że sama wiosna straciła swą piękność.

Jeżeli ciągnie człowieka do stron rodzinnych natura, góry i pola, las i rzeki, o ileż więcej ciągnąć będą te skarby duchowe, ta tradycja, która z każdego nawet kamyczka do niego się odzywa.

Oh! tak. Kawał ziemi ojczystej, potem dziadów i ojców naszych zlany, ich pracą kupiony, jest dla nas spuścizna, są krzyże proste, stare, przez wiek pokrzywione, a pod nimi leżą szczątki twych dziadów i pradziadów. Każdy krzyż i kamyczek przypominają ci o dziejach przeszłości, są dla ciebie jakoby zachętą, byś naśladował cnoty pradziadów.

Tam w polu, gdzieś pszenicę posiał, kurhan przypomni ci, że niegdyś pradziady, albo dziady twe w obronie tej matki ziemi nieśli życie swe, a ich opór mężny obronił od zaboru ojczyznę.

Czy ten stary, biedny, a prosty kościołek wiejski, gdzie w niedzielę modlisz się, nie przypomina ci gorącej a czyn-



Buffalo.

zną świętą, drogą, którą powiększać, upiększać wolno, ale sprzedawać jest zbrodnią, a opuszczać zdradą. Jak dobre dziecko każdą pamiątkę po ukochanych rodzicach, tak i my tę matkę-ziemię przechować powinniśmy nietkniętą i nieuszczuploną. Bo wszak z tym zagonem ojczystym wszystko nas łączy.

Tu pod cieniem odwiecznych brzóz i sosen, niedaleko od chaty twej, w tej ciszy tajemniczej cmentanej wiary czasów lepszych, dawnych. Przed twym obecnym księdzem proboszczem był tu drugi, trzeci... dziesiąty ksiądz, a wszyscy oni tę samą wiarę Chrystusową, katolicką głosili. I wszystko razem oddziaływa na serce twe, wstrzymuje od zdrady starożytnym ideałom, niemem kazaniem woła do ciebie o wytrwanie, o czyny szlachetne i z wiarą zgodne. Wszystko to jest niemem kazaniem, wołającem: „Pamiętaj, człowiecze, o twej wierze, o twej krainie”.

I żyje tam w kraju lud według zasad swej wiary świętej, według zwyczajów dziadowskich, a gorąca wiara od występków i zbrodni go broni.

I żył tak lud nasz niezepsuty, żadna trucizna do niego nie przenikała. A na świecie tyle jej było. Tam poza Polską straszne się działy rzeczy. Tam brat przeciw bratu powstawał, krew niewinna rzekami się lała, krwią, pożarem i mordem zalewając ziemię, mścił się biedny nad bogatym za to, że tamten pracą uczciwą dobrobyt sobie zdobył.

Ludy niegdyś karne Kościołowi, na własną swą matkę-Kościół rękę podniosły, pasterzy swych i ojców wyrzucały z siedzib ich prastarych, ba, samego Boga wyrugować próbują i z chaty swej, i ze szkoły, a nawet z nieba chcą wyrzucić.. A lud nasz, obcy temu wszystkiemu, modlił się kornie w świątyniach ojców, pasterzy swych szanował, jak zawsze potężne dźwięki „Święty Boże" jedynym jego protestem były i skargą bolesną do nieba płynęły, jak zawsze, Matkę swą i Królowę-Marję czcił i do niej w swej rozpaczy się uciekał.

Pienił się szatan ze złości, postanowił zatruć ten spokój niebiański wsi naszej, lud nasz zatruć. Wymyślił dla tego straszny oręż, wychodźtwo—emigrację. Dużo składało się przyczyn, że ten pomysł szatański uskuteczniony został. Biedna nasza matka—ziemia, źle uprawiana, już nie była w stanie lud nasz wyżywić. A ludu wciąż przybywało.

W innych stronach brak ziemi zastąpiła kultura, bo przy niej z mniejszej ilości ziemi umiano ciągnąć większe korzyści, a u nas ciemnota, sztucznie przez nieżyczliwych sąsiadów podtrzymywana, nie dopuszczała tej kultury.



Kapitol w Michigan.

W innych krajach handel i przemysł rósł—u nas to wszystko żydzi w swe ręce zabrali, a nasza bierna słowiańska natura nie pozwalała wyrwać z rąk żydowskich tego, co do nas należało.

I biedny wieśniak, zawsze wyzyskiwany, płacił za wszystko podwójną cenę, sam wszystko za pół ceny żydom sprzedając. A wszelka samoobrona, jakiś ruch ekonomiczny był za zbrodnię poczytany.

Więc nędza szerzyła się coraz więcej, a coraz więcej zwężało się to koło zaczarowane, którem nas otoczono.

U innych narodów i na to były środki. Gdy za ciasno było—szli inni na łupiezkie wyprawy, zabierali obce ziemie, wypierali z nich mieszkańców prawowitych, a zdobycze zwycięzców lud zbogacały. Tak naszym kosztem rosły Niemcy, w ślady ich i inne narody szły. Ale Polska i w czasach potęgi swej nie znała co to grabież, nie wiedziała, co to znaczy krew ludzką przelewać dla zdobycia kawała ziemi. Bronić słabszych, swych ołtarzy i języka tylko umiała. Ciężkie czasy! rozpacz ogarniała lud, nędza już coraz więcej, jak gość niepożądany, do drzwi zaglądała. I w tę chwilę rozpaczliwą rzucił szatan to hasło straszne, co miało nas zatruć, co tyle miało przynieść ciężkich chwil, tyle łez biednej męczeńskiej krainie: hasło to straszne, słowo, co zatruć miało, to—„Emigracja".

Z djabelskim uśmiechem, z radością z przewidzianych korzyści, rzucił szatan to słowo trujące wśród nas, aż w piekle się odezwały brzęki tego śmiechu szatańskiego, a i wśród wrogów naszych licznych.

Żydzi podchwycili to hasło i roznieśli po chatach, po wsiach i zagrodach, a tam szczególnie, gdzie większa nędza i ubóstwo, zabrzmiała ta szalona nowina i poruszyła serca.

„Więc po co mamy nędzę cierpieć, kiedy tam za morzem złoto czerpią rękami, jak tu grzyby, albo jagody? Po co mamy tu i rodzinę i siebie głodzić, kiedy tam w Rosji obszary ziemi puste, a każdemu, kto chce tylko, dają chętnie? Więc na obczyznę! Tam szczęście, tam dobrobyt, tam kraj obiecany!"

I uwierzył lud tej bajce. I pociągnęły na obczyznę te sukmany w poszukiwaniu złota i ziemi darmowej. Całe wsie opustoszały, bo ludzie poszli. A drogę tę cierniową krzyżyki znaczyły, bo wielu jeszcze w drodze poginęło, nie mogąc znieść klimatu surowego; inni do celu podróży doszli, ale tam poginęli w walce nad siły z żywiołami nowej osady, w walce ze zbójami i dzikiemi zwierzętami; inni znów urządzili się jakoś i chatę zbudowali, i rolę mają, lecz w drodze tej po złoto, potracili te skarby, które ze sobą zabrali: wiarę i cnotę przodków.

I każdego roku znów jak fala powrotna, wraca mała tylko część tych tułaczy. Już ich szeregi nie tak gęste, na twarzach rozpacz i boleść, zawiedzione nadzieje ich życie poderwały. Przekleństwo nie na jednych ustach, że ludzi posłuchali, a dzisiaj swej głupocie zawdzięczają tę ruinę. Sprzedali oni swą zagrodę ojcowską. Ba, może obcych do swej wsi wpuścili. Wydali na drogę wszystko, co mieli, a dziś żebrakami wracają.

Nie wszyscy. Tylu się tam urządziło, może mają nawet względny dobrobyt, ale gdy zajrzysz w ich serce, do ich rodziny, aż przestraszysz się tego obrazu, jaki ujrzysz. Spustoszenie, spustoszenie i spustoszenie! Tam trucizna niewiary już duszę napełniła. Tyle nałogów, tyle namiętności przybyło do niej, —o nich człowiek nie miał pojęcia, nim ze swej wsi wyjechał.

Inni do domu wrócili. Ale przez lat kilka, albo może nawet kilkanaście, jakże wszystko się zmieniło. Obce kraje, obce zwyczaje zatruły ich duszę. Oni już nie rozumieją rodaków, a rodacy ich. Zapytaj proboszczów wiejskich, kto to na wsi rozpowszechnia niewiarę, kto się przyczynia do szerzenia rozpusty dawniej nie znanej, a wskaże ci proboszcz na tych, co w Ameryce, albo Prusiech zaczerpnęli swoją ogładę, ale płacąc za nią swoją wiarą i swoją cnotą.

Takie więc owoce wychodźtwo przynosi: albo nędzę i ruinę, albo wątpliwy dobrobyt z połączoną niewiarą i upadkiem moralnym.

I nie są to brednie chorego człowieka—gdy zastanowimy się szczegółowo nad warunkami naszego wychodźtwa w różnych krajach, przekonamy się, że tak jest. Przekonamy się, że prawdziwe są utyskiwania chłopa naszego tak doskonale wyrażone przez naszą narodową poetkę Konopnicką.

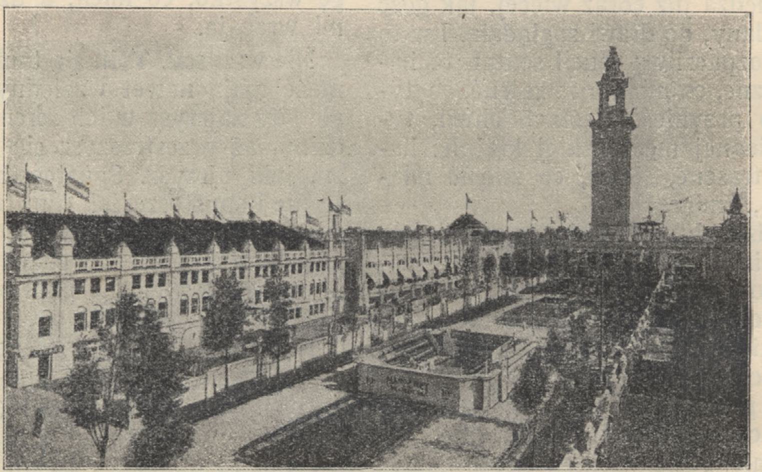
A żeby cię, Boruto,
Na łańcuchu zakuto!
Na dno piekła schowano,
Za mą chatę kochaną.

Usłuchałem cię, biesie.

. . . .

Com przecierpiał, com przeżył,
Piaskiem z morza byś mierzył,
I nie zmierzyłbyś tego,
Aże do dnia sądnego.

Ptak od gniazda nie leci,
Ot zagubił ja dzieci,
Zagubił też i żonę,
I te łany zielone.



Chicago.

Z tego zdrowia, z tej siły
Ostały się mogiły,
Z tej chudoby, z tej pracy
Ostali się żebracy.

Obiecywał nam szczęście,
A pod cudze dał pięście,
Obiecywał mi złoto,
A ostawił sierotą.

Może wyobrażasz sobie, że pojedziesz na obczyznę na czas jakiś, że sobie tam przysporzysz majątku, a potem znów wrócisz do swej chaty i do swej wsi, kupisz sobie ziemi kawał, zamieszkasz tam i znów popłynie życie spokojne i ciche, obce grzechom i namiętnościom. Nie marz tak! To tylko sen, marzenie bez podstawy, które zawsze marzeniem pozostanie. Trucizna miast tak straszna, jak te oparczyska, co wciągają do siebie niebacznego podróżnego, by go utopić.

Miasto pochłonie cię najzupełniej, przerobi twoją naturę, tak, że niezdolnym będziesz do życia na wsi, miasto już tak tobą owładnie, że na wsi po niem nudzić się będziesz. Miasto z ciebie zrobi tę maszynę bez serca, bez wiary, a wioska obcą ci będzie już, nie zrozumiesz już swych ziomków.

Jak pijak trzyma się, nim nie skosztuje choć kropelki wódki, tak też wieśniak kocha swą wieś, kocha to życie spokojne, chociaż pełne niewygód, nim nie pozna zgiełku miasta, nim nie napije się tej trucizny miejskiej, co go, jak wódka pijaka rozpala i kajdanami grzechu do miasta przykuje.

. . . .

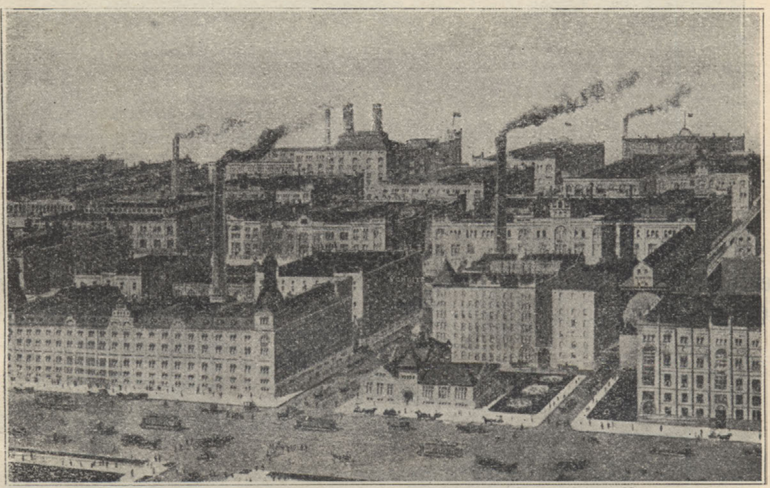
I czegóż ci ludzie szukają tu na obczyźnie? Co pędzi ich w te dalekie niegościnne strony? Zarobek... O, to ten bożek, któremu wszystko na ofiarę się składa, to ten bicz, który ich jak wiecznych tułaczy pędzi z miejsca na miejsce, gdzie ich wieczna czeka zgu-

ba. Za wielka to zapłata, której szatan od ciebie żądać może za dobrobyt.

. . . .

A może pojechać do Ameryki? Do innych stron zagranicznych? Jadą tam wszak całe tłumy naszych. Oh! tak! jadą, niestety, ale też całe tłumy wracają z powrotem zrujnowani, zrozpaczeni, przeklinając tę chwilę, kiedy złych ludzi posłuchali. Jadą, bo żydzi starają się, żeby coraz więcej jechało naszych, to wszak im zyski daje. Oni, co umieją zawsze tak dobrze prawo ominąć, ciebie nauczą jak przekroczyć granicę, a za to każą sobie dobrze zapłacić. Mniejsza o to, że może twoje życie narazisz, prowadzą cię pod strzały strażnika. Oni twój dobytek za bezcen kupią. Oni, korzystając z twej nieświadomości, podwójną, a może potrójną cenę za przejazd wezmą. To są przyczyny, ziomku, dlaczego tak dbają o twe dobro, namawiając do tej złotodajnej Ameryki. A może nawet mają nadzieję twe córki, twą żonę sprzedać tam w Ameryce. Wszak i ten wstrętny interes oni prowadzą. A ty za ich namową chcesz może zrujnować twą gospodarkę i zgubić twoją rodzinę, żeby mogli z ciebie skórę ściągnąć ci mniemani przyjaciele.

Powiesz, że słyszałeś, iż niejeden urządził się tam nieźle zagranicą. Tak! może być, choć rzadko, może się udało zdobyć majątek. Ale zobacz, co tam z ich sercem się dzieje. Jaka okropna tam ruina. I wiarę i przywiązanie do swego kraju, wszystko postradali oni w drodze do tego majątku. Zapytaj twego proboszcza, z kim on ma największy kłopot w parafji, a powie ci, że z tym amerykaninem, co w kusy się przebrał surducik; a gdy jego sąsiedzi na mszę spieszą, on do karczmy i ćmiąc z zagranicznej fajeczki, brednie tam wieśniakom wygaduje.



Fabryki w Milwaukee.

Nie będę opisywał, ile to cierpień, zawodów i boleści, upokorzeń i krzywd przeniesiesz, ziomku, nim się dostaniesz do tej Ameryki. Nie będę opisywał tej morskiej podróży ze wszystkiemi niebezpieczeństwami, ani tego upokorzenia, co będziesz musiał przeżywać od pierwszej godziny, jak przekroczysz granicę i spotka cię opasły, zawsze piwem nalany, żandarm pruski, bo o tem już dużo pisano. Tylko chcę prostemi słowy, ze szczerego kochającego serca z wami się podzielić tem, co przez długą nabyłem praktykę. Chcę wam, ziomkowie, przypomnieć znów tę straszną prawdę, że djabelska rzecz,

djabelski wynalazek na zgubę naszą— emigracja.

. . . .

ciej cię nakarmi. Patrz, jak pracują inni. Oni z daleko mniejszych gospodarstw potrafią daleko więcej otrzy-



Detroit.

Więc źle ci ziomku w domu. Mało masz ziemi, mało zasobów, a rodzina wciąż się powiększa. Pracuj więc, na-

mać. Wszak nas Polaków, wcale nie skrzywdziła natura. Mamy i dobre grunty, i klimat odpowiedni, i dużo rzek



Detroit.

ucz się większe zyski ciągnąć z ziemi, czytaj książki o rolnictwie, a matka twa karmicielka-ziemia jeszcze obfi-

rybnych, nie braknie jeszcze lasu, paszy. Przychodzi nam z pomocą i pszczółka pracowita. Pracuj tylko pilnie, nie

przepędzaj czasu w karczmie, odmawiaj sobie na rzeczy, które są niekoniecznie potrzebne, na zbytki, a wystarczy na utrzymanie i tobie i twej rodzinie. A nie będziesz zmuszonym na poniewierkę iść i rodziny swej ciągnąć.

Tam na obczyźnie na ciebie ciągle szatan czyha. Dostaniesz pracę przy kolei żelaznej, tam pracując, nie znając świąt i niedzieli, zapomnisz o wierze twej. Wędrując ciągle, odrywając się od rodziny na całe tygodnie, od towarzyszów twych nauczysz się rozpusty i pijaństwa.



Detroit.

Poślesz dziatwę twą na służbę, do obcych, żeby parę marnych zdobyć groszy, tobie parę rubli przyniosą, a cnotę swą utracą. Bardzo mało z tych dziewcząt, co na służbę do obcych poszły, dziewczętami wracają, owszem, tyle ich ginie, bo ze służby... wprost do domów rozpusty przechodzą.

Pójdziesz do fabryki, tam ci w niedzielę i święta każą pracować; tam będziesz niewolnikiem tego przeklętego rubla. Tam stracisz wiarę i zdrowie zniszczysz. Sprzedałeś swoją zagrodę, a gdy starość przyjdzie, nie będziesz miał gdzie przytulić swej głowy tułaczej.

Nie masz w domu ratunku, nie masz możności wyżyć na ojcowskim zagonie, musisz koniecznie wyjechać, to już nie szukaj tak daleko chleba, ale w twej polskiej ziemi, wśród ziomków twych. Wszak i tu okazje bywają do kupna i do dzierżawy. Tylu obcych wydzierają nam tę matkę-ziemię, dlaczego nie ty wolisz ją nabyć? Ratuj matkę ziemię od przybyszów, a zasługę będziesz miał i rodziny swej nie zgubisz i wiary nie utracisz. Szukaj na Białej Rusi, szukaj na Litwie, a znajdziesz łatwo. Może trochę mniej ziemi nabędziesz, może wypadnie ci w tem lub owem sobie odmówić, ale czy dla ciebie nie ma wartości, że tam będziesz miał i swoją świątynię i kapłanów i ziomków.

Radź się ludzi dobrych i uczciwych, radź się proboszcza twego, udaj się do pism ludowych, które też ci pewnie nie odmówią rady. Nasza matka-ziemia aż nadto bogata, żeby nakarmić wszystkich swych synów, a więc i ciebie nakarmi, a do obcych krajów wara ci jechać, abyś tam nie żałował przez całe życie tego kroku nierozważnego, aby twa dziatwa z czasem cię nie przeklinała. Dość już zginęło na obczyźnie ziomków naszych, co przewrotnego posłuchali żyda, czas już opamiętać się i do wspólnej wziąć się pracy na ojczystym zagonie.

ROZDZIAŁ III.

USTRÓJ STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

Ci tułacze z rozmaitych krajów przynosili z sobą swe zwyczaje i obyczaje, a zasiedlając pustynną Amerykę, tworzyli kolonje najrozmaitszych charakterów. Z początku były to tylko kolonje zależne od swej metropolji, urządzane według praw tego państwa, z którego wyszły, albo nareszcie tego państwa, które przywłaszczyły sobie daną miejscowość. Najpotężniejszym zdobywcą była Anglja, więc jej prawa obowiązywały w całej Ameryce Północnej. Lecz nie podobało się to przybyszom, którzy tu przyszli, szukając wolności i dobrobytu—zaciasne były im ramki prawa —powstała więc wojna kolonji przeciwko metropolji; ludzie najrozmaitszych przekonań, narodowości i wierzeń, połączyli się razem i zaczęła się wojna o wolność o zrzucenie panowania Anglików. Uczestniczyli w tej wojnie i Polacy—a nasi bohaterowie: Kościuszko i Pułaski sławnie zapisali swe imię w historji Stanów Zjednoczonych.



Stolica Stanów Zjedn. Washington.

Panowanie Anglików było zniesione—a utworzyły się Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, których ustrój oparty na zasadach wolności, braterstwa i równości. Nie od rzeczy będzie kilka krótkich wiadomości o Stanach Zjednoczonych, które ułatwią nam zrozumienie szczegółów życia Polaków w nowej dla nich krainie.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej stanowią związek Republikański, składają się z 46 Stanów (prowincji) i 5 terytorjów. Każdy Stan ma samorząd i niektóre osobne prawa, wszystkie zaś stany razem rządzone są przez parlament i wybieralnego, co 4 lata prezydenta.

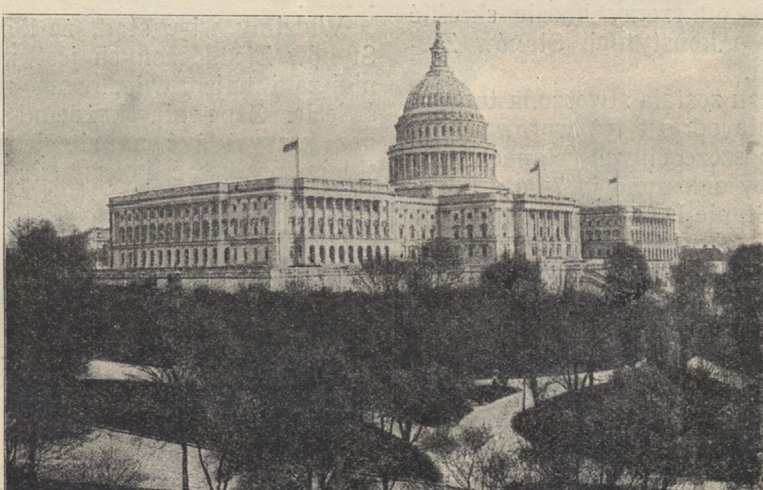
Obecnym prezydentem jest Wilson, który nastąpił po Wiliamie Taft 1913 r. Pierwszym prezydentem był Georg Washington, który był twórcą powstania i oswobodzicielem Ameryki. Stolicą Stanów Zjednoczonych jest miasto Washington (Waszyngton), jednak są miasta większe od stolicy—New York, liczący około 4 miljonów mieszkańców, największy port w kraju Chicago (Czy-

kago) około 3 miljonów mieszkańców, z których prawie 300 tysięcy Polaków, i Philadelphia (Filadelfja).



Pałac muzyki w Buffalo, gdzie prezydent Mc. Kinley został zamordowany.

Obejmują Stany Zjednoczone ogromne obszary, aż 9,404,400 kilometrów kwadratowych (kilometr prawie wior-

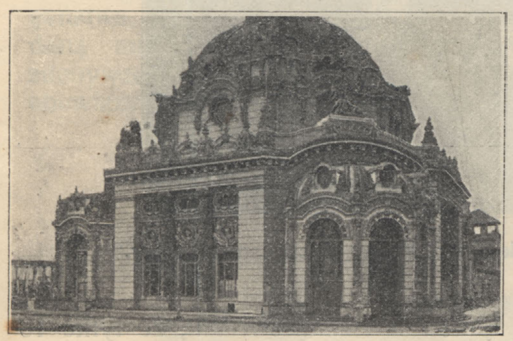


Kapitol w mieście Washington.

sta rosyjska), t. j. są krajem 120 razy większym niż Galicja. Ale kraj ten nie jest tak gęsto zaludniony jak Europa— na wiorstę kwadratową zaledwie wypada 7 mieszkańców. Ludność całej tej olbrzymiej krainy stanowi: 80 miljonów mieszkańców, tak, że tylko 10 razy przewyższa zaludnienie Galicji.

Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych nie są jednakowo rozdzieleni w rozmaitych okolicach. Najgęściej zaludnione są Stany Rhode Island i Massachusetts—

gdzie przypada 132 mieszkańców na kilometr. kw. (wiorstę), najrzadziej— górzyste prowincje zachodnie: Newada, Montana, Wyoming i Arisona. Urzędowy język w Stanach—angielski, większość mieszkańców wyznaje protestantyzm, lecz wszystkie wyznania mają najzupełniejszą wolność i niczem nie ograniczone prawa. Rząd się prawie nie miesza do spraw religijnych, wolno mieć każdemu wyznaniu, każdej narodowości swe szkoły, stowarzyszenia, obchody



Bibljoteka Parlamentu.

religijne i narodowe, procesje i uroczystości. Nie od rzeczy będzie skreślić kilka słów o konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Nie odrazu została stworzona ta konstytucja, nie odrazu też wprowadzona była w poszczególnych stanach. Po raz pierwszy ogłoszono ją 7-go grudnia 1787 r. w Stanie Delaware, a potem powoli przyłączały się i inne stany. W roku 1790 została wprowadzona w pozostałych 13 stanach.

Konstytucja składa się z siedmiu zasadniczych punktów:

Kongres ma się zbierać przynajmniej raz do roku.

Kongres ma prawo dopuścić do Unii tyle stanów, ile zechce.

Jeden stan nie może znieść praw drugiego.

Konstytucja gwarantuje każdemu obywatelowi szybki proces przed ławą przysięgłych.

Prawa, które tylko przez kongres mają być wykonane, są nienaruszalne.

Każdy stan ma szanować prawa i wyroki innego stanu.

Kongres nie ma prawa wprowadzać w życie nowej ustawy, karającej za czyn popełniony przed jej wprowadzeniem.

Osoba, która popełniła zbrodnię w jednym stanie, nie może się ukryć do innego.

Budżet państwa może być uchwalony przez izbę posłów, senat ma prawo podawać lub zgodzić się na wnioski.

Układy z innemi państwami prowadzi prezydent, a senat zatwierdza.

Ustawa odrzucona przez prezydenta nie może wejść w życie, chyba znów $^{2}/_{3}$ głosów obydwóch rad ją uznają.

Izba posłów ma prawo uznać prezydenta za winnego, wszystkie jednak obwinienia muszą być rozpatrywane przez senat.

W końcu 18-go stulecia został zatwierdzony przez wszystkie stany dodatek do konstytucji, który zapewnia każdemu obywatelowi wolność religji, słowa i osoby. Znosi ten dodatek niewolnictwo i daje prawo głosowania każdemu, bez względu na barwę skóry i rasę.

Widzimy więc stąd, że konstytucja Stanów Zjednoczonych jest najliberalniejsza i najsprawiedliwsza na całym świecie. Zapewnia każdemu możność bez krzywd żyć na ziemi amerykańskiej, pracować i kształcić się pod opieką rządu.

Nie ma Ameryka stałej armji ogromnej, stanowiącej ciężkie brzemię dla narodów Europy—więc pod względem praw i możności zdobycia środków do życia nie pozostawia nic do życzenia. W każdym razie, dla nas jest to obczyzna i niejeden zły wpływ oddziaływa tam na duszę tułacza.

Kongres Stanów Zjednoczonych składa się z Izby wyższej, czyli Senatu i Izby niższej t. j. Izby posłów czyli Parlamentu.

Senat złożony jest z 92 członków, t.j. dwóch senatorów z każdego stanu.

Na czele senatu stoi prezydent senatu z sekretarzem.

Izba posłów, złożona z 390 członków, wybieralnych przez pojedyńcze stany, stosownie do ilości mieszkańców.

Pojedyńcze stany rządzone są przez gubernatorów wybieranych na dwa lata. Prawdziwe rządy spoczywają w ręku ciała ustawodawczego „Legislatum" składającego się tak samo z senatu i izby posłów. Senatorowie wybierani na przeciąg lat 2, posłowie na jeden rok.



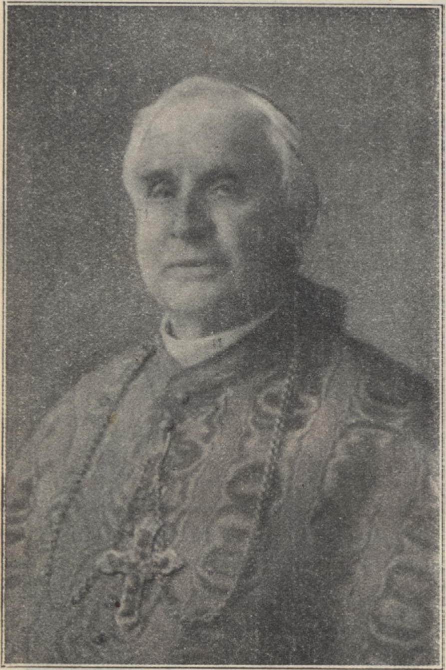
Satyra na opozycję przeciwko prezydentowi Stanów Zjednoczonych Ameryki P.

ROZDZIAŁ IV.

Rozwój katolickiego kościoła polskiego w Ameryce.

Niełatwe były początki tworzenia podwalin pod kościół katolicko-polski, zorganizowania swojskiego wojska Chrystusowego—kapłanów misjonarzy.

Długo nie mogli zrozumieć biskupi i kapłani Irlandczycy, których wśród katolików była większość, że nie potrafią zaspokoić potrzeb ludu naszego, nie znając jego charakteru, obcemi mu będąc duchem.



Kardynał ks. Jan Farley, arc. nowojorski.



Arc. ks. John Bonzano w Washingtonie.

Prawda, ważne były Sakramenta, przyjmowane od tych obcych kapłanów i msza św. ich niczem nie różniła się od tej mszy św., którą w rodzinnym kościołku ks. proboszcz odprawiał, ale nasi tułacze czegoś więcej żądali—u nas w kraju kapłan jest ojcem parafji, do niego się udają po radę, on jest naturalnym przewodnikiem ludu, a tego dać obcy kapłani nie mogli—lud ich zaledwie rozumiał, kilka słów w nowej mowie nauczonych mogło wystarczyć do zwykłego życia, ale duszy swej wyłonić kapłanowi nie mogli, rady zasięgnąć nie potrafili.

A on biedny wszak tak był przyzwyczajony do tego przewodnictwa, nim porzucił ojczyste zagony.

Prawda, tam na obczyznę szli za nim niektórzy kapłani—ale były to wysiłki luźne, niezorganizowane—mało mogła uczynić ta garstka kapłanów Polaków, których po większej części pchnęły okoliczności do nowego świata.

Trzeba było walki ciężkie stoczyć, nim kler polski wywalczył sobie stanowisko. Biskupi, po większej części Irlandczycy, którzy odznaczali się szowinizmem, niechętnem okiem patrzyli na te starania się o kler własny naszego ludu. Im się zdawała ta walka jakimś zamachem na nich samych, więc

dlatego niewysłuchane pozostawały te prośby, ale owszem starano się nawet Rzym źle informować.

Jak potrzebni byli swoi kapłani, widać już choćby z tego, że lud, oszukiwany przez złych ludzi, nie raz szedł drogą fałszywą, zgubną, aby tylko swe marzenia urzeczywistnić. Przewodnicy przewrotni, szukający własnych korzyści zaprowadzili część ludu aż do kościoła polskiego niezależnego, pod przewodnictwem samozwańczego biskupa Kozłowskiego i Hodury. Straszne nieszczęście, schyzma nowa groziła kościołowi amerykańskiemu. Wysunęli się na widownię ludzie ambitni, kierowani chęcią zysku i w rzeczy samej nienawidzący Kościoła, albo może narzędzia w rękach wrogów Kościoła. Biedny lud z rozpaczy tu się rzucił—zdawało mu się, że suknia kapłańska była dostateczną rękojmią, iż sprawa dobra.

To niebezpieczeństwo nowe może więcej podziałało na wrogów idei stworzenia kleru polskiego—niż płacz i jęk ludu. Zaczęli biskupi starać się o kapłanów Polaków, założono seminarjum polskie. W ten sposób powstawać zaczęło coraz więcej parafji polskich, a przy nich szkoły i stowarzyszenia.

Nie mało do zwrócenia uwagi Ojca świętego na tę ogromną potrzebę przyczyniła się podróż ks. biskupa Symona, wysłanego specjalnie w celu zbadania stanu katolicyzmu wśród Polaków w Ameryce.

Dziś rozrósł się ten kościół polski w Ameryce do olbrzymich rozmiarów, a niekrępowany przez rząd tolerancyjny, coraz więcej rośnie, coraz mocniej wspiera się na poważnych fundamentach—szkołach i stowarzyszeniach katolickich.

Ogólne dane statystyczne podają nam następujące wiadomości:

Liczba parafji polskich	446
„ księży	580
„ szkół	270
„ dzieci w szkołach	92,568

Niestety, ze spisu kościołów tylko przy 100 kościołach wymieniona jest liczba polskich mieszkańców—sto kościołów mają razem 234,164 dusz, czyli przeciętnie na jedną parafję wypada 2,349 wiernych, z czego wnosić można, iż ludność wszystkich 446 parafji polskich stanowi 1,044,986. Ale bierzemy tylko w rachubę katolików, uczęszczających do kościoła i płacących składkę, nie bierzemy emigrantów czasowych, jeszcze nie osiadłych, więc nie będzie to przeszkodą, gdy weźmiemy liczbę



Kościół św. Wojciecha w Grand Rapids.

2 miljony za liczbę polaków-katolików w północnych Stanach Zjednoczonych.

Ponieważ w Ameryce przedewszystkiem wszystko się ocenia według materjalnej wartości—i my musimy w ten sposób przeprowadzić ocenę potęgi i trwałości instytucji naszych kościelnych. Przeciętnie majątek nieruchomy każdej parafji, mniej więcej trzeba liczyć na 25.000 dolarów, a więc przypuszczalna wartość majątków kościel-

nych polskich w Ameryce Północnej wynosi 11 miljonów dolarów. Ponieważ zwykle te majątki są obciążone długami hypotecznymi, wynoszącymi 50% ich wartości, przeto możemy liczyć, iż majątek kościelny stanowi około 5½ miljonów dolarów. Czy to jest tak wielkim ciężarem dla ludności? Na 2 miljony Polaków taka suma wynosi zaledwie 2 dolary 75 centów na osobę.

A jakież dobrodziejstwa spływają z tych placówek na naszych tułaczy! Każda parafja zaraz tworzy stowarzyszenia katolickie; szkoła zabezpiecza ludowi możność nauczenia dziatwy mowy ojczystej, zabezpieczając w ten sposób od wynarodowienia; kościół i kapłan łączą parafję w jedną potężną siłę.

Nie wszystkim jednak na rękę było przewodnictwo kapłanów— jak zawsze ci pseudoprzyjaciele ludu i wrogowie Kościoła wypowiedzieli walkę na śmierć i życie Kościołowi i kapłanom w Ameryce. Dla odmalowania tego obrazu smutnego przytoczymy częściowo doskonały artykuł jednego z działaczów w Ameryce, ks. Bojanowskiego, wydrukowany w *Nowinach Polskich* pod tytułem „Księża wobec społeczeństwa".

„Padła Polska pod strasznymi ciosami swych wrogów, osłabiona przez niezgodę wewnętrzną. Już wielki nasz kaznodzieja i prorok, ks. Piotr Skarga, przepowiadał ten upadek naszej ojczyzny. Wymownemi słowy powoływał on do naprawy—do tej jedności i uległości kościołowi. Niestety, były to słowa wołającego na puszczy.

Na mogile swej ojczyzny złożył lud hołdy temu wielkiemu kapłanowi-patrjocie. Choć zapóźno stanął duch kapłana polskiego wśród ludu polskiego.

Gdy już straszne niebezpieczeństwo groziło, lud ocknął się jak lew raniony, rzucił się na ratunek ojczyzny—poszły reformy społeczne, powstała wspaniała Konstytucja 3-go maja, szły zbrojne powstania, a kapłan polski stał zawsze przy ludzie, w pierwszych szeregach tych, co chcieli ocalić lud, pił z nim czarę goryczy aż do dna, a palmą jego zwycięztwa była korona cierniowa.

Świadczą o tem archiwa i w Wiedniu i w Berlinie i w innych środowiskach— procesy liczne, więzienie i tułactwo tych kapłanów—a tych dowodów patrjotyzmu zaprzeczyć nie w stanie prasa antyklerykalna.

Kapłan-Polak stał wśród swego ludu. Walczono przeciwko nam wszelkim orężem, ciosy zabójcze kierowano na wszystkie podwaliny naszego istnienia — na religję, na moralność, na oświatę, na jedność naszą, a nareszcie na byt nasz ekonomiczny. „I we własnej ojczyźnie nie stało miejsca dla wszystkich jej synów— miljony synów Polski musiało iść pod obce niebo".

Poszedł za nimi kapłan, a gdzie stanął—tam skupił rozproszonych, tam utrzymał mowę i kulturę rodzinną, tam przez katolicyzm nauczył kochać ojczyznę miłością wyższą ponad osobiste powodzenie. Tak się stało i tutaj w Stanach Zjednoczonych. Dzisiaj ukazujemy z dumą obconarodowcom, mieszkającym tuż obok nas, nasze kościoły, nasze szkoły, nasze instytucje dobroczynne i nasze organizacje.

Twórcze to dzieło naszego patrjotyzmu natchnionego i otrzymanego przez katolicyzm; kapłan Polak stał u źródła tego twórczego tchnienia.

Udziałem dziejowym naszego narodu była wolność; tę wolność nieśliśmy w darze narodom, tą wolnością darzyliśmy się sami. Lecz od wolności do swawoli, do osobistych ambicji mały tylko krok—i rzuciliśmy przez ten przedział pomost, nawet usankcjonowaliśmy go konstytucją w formie „liberum veto". Bodaj już od śmierci Krzywoustego swawolę zwaliśmy wolnością. Nawet cierpienia porozbiorowe nie rzuciły nas na drogę prawdziwej wolności, której treścią jest poszanowanie praw, więc uginanie swego „ja" pod dobro ogólne. Królestwo, Galicja, Poznańskie były i są widownią ciągłych naszych swarów i walk domowych na tle ambicji partyjnych, a z tych swarów i walk szło rozbijanie się nasze na cząstki: za ten czyn błogosławi-

y nas rządy zaborcze, bo uprościliśmy m pracę nad naszem wynaradawianiem.

Mamże przypomnieć tu najświeższe już tylko walki w Królestwie po roku 1905? Mam przypomnieć najświeższe rozdwojenie partyjne w Poznańskiem, które spowodowało utratę kilku poselskich polskich mandatów?

Swawola na tle ambicji osobistych poszła śladem za naszą emigracją, rozbiła ją na walczące obozy i unicestwiła wszelkie jej wpływy; dzieci jednej matki, spotkawszy się na obcej ziemi, nazwały się wrogami.

Trudno się spodziewać, aby wychodźtwo nasze tutaj w Stanach Zjednoczonych poszło inną drogą: nasze polskie roznamiętnione pragnienie wolności wyniszcza systematycznie wśród nas nawet instynkt skupiania się społecznego; dojdziemy może do tego, że tylko za cenę bohaterskich wysiłków nad zwalczaniem tej roznamiętnionej wolności zdobędziemy siłę zrzeszania się.

Więc i tu, w Stanach Zjednoczonych, wre wśród nas walka. A walka ta, to nie walka o utrzymanie polskości, to nie walka z reklamowanymi błędami w naszem szkolnictwie lub kierownictwie ludem, każdy bowiem, chociaż tylko dorywczy badacz naszej amerykańskiej imigracji zrozumie, że więcej trudno było zdziałać nad to, co się zdziałało: dzieci kajdan, niewoli, odarci ze środków materjalnych, ogołoceni z oświaty rodzimej, zdemoralizowani wypadkami dziejowymi, tylko z wysiłkiem ruszyć mogliśmy z miejsca do pochodu narodowego. A jednak, pomimo tych odśrodkowych sił, chociaż niedawni jesteśmy tutaj, dopędzamy wszakże w pracy narodowej inne, obok nas istniejące tu emigracje, które i dawniejsze są i szczęśliwszą od nas miały przeszłość.

Więc nie tylko błędy w dotychczasowej naszej pracy narodowej są przyczyną naszych walk. Tą przyczyną jest ambicja przywództwa — stara, dawna, polska ambicja. Walka o niepodzielne przywództwo zrodzić musiała zróżniczkowanie nowo wywieszonych polskich sztandarów z tymi, które dotąd powiewały przy twórczej pracy. Bo i czymże innym wykazać się zdołają te nowe sztandary, skoro pod ich egidą nie było jeszcze dotąd odrębnej twórczej polskiej myśli i twórczych czynów? Z tendencji zepchnięcia duchowieństwa z posterunku narodowego zrodzić się musiał sztandar liberalny, który dla zapewnienia sobie przyszłości, musi schlebiać temu roznamiętnionemu naszemu dążeniu do wszechstronnej wolności, któremu w słowniku historycznym imię *swawola.*

I oto geneza antyklerykalnego, raczej antykatolickiego ruchu i oto geneza fanatyzmu na tle jakiejś nieuchwytnej rozumowo wolności.

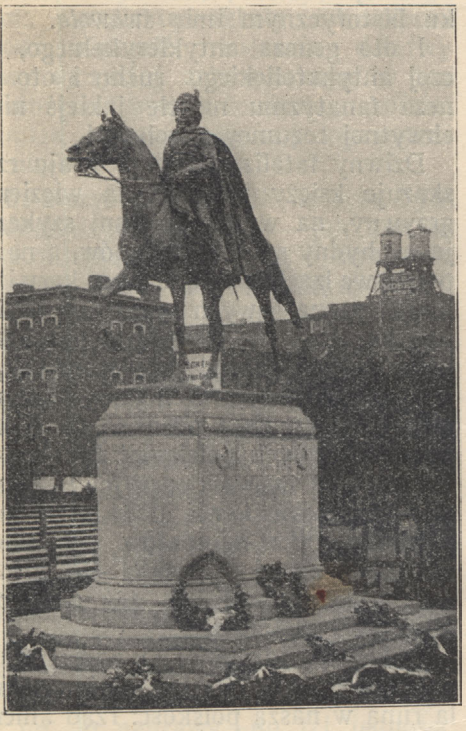
Dziwny fatalizm: tam w kraju rząd skazuje księży polskich na więzienie, grzywny, na wygnanie; tam szykanuje w ohydny sposób biskupów, a naród polski we łzach spogląda na te kary i we łzach żegna swych przywódców-kapłanów; tam w Poznańskiem stolica prymasowska dotąd osierocona—a tu ten sam lud polski tych samych kapłanów polskich chce odsunąć od siebie, jako niegodnych polskości! Dziwny fatalizm: tam swawola partyjna skrwawiła ręce polskie krwią polską, wydarła polskości kilka mandatów poselskich, aż jęknął naród w boleści—tu zaś na wychodźtwie powstaje taż swawola, jako ideał wolności!

Dokąd my idziemy? Tu nad głowami naszymi zawisły pioruny, co lada chwila runą w naszą polskość: rząd amerykański już wdziera się z obostrzeniami w nasze polskie szkolnictwo, już przemyśliwa środki niwelacji wszystkich odrębności narodowych, a więc i naszej. My zaś toczymy walki z sobą o religię i o najelementarniejsze zasady zrzeszania się społecznej naszej pracy. A walkę tę zrodziła ambicja przywództwa, więc o ambicję i z ambicją walczymy — taki to nasz patrjotyczny dorobek tutaj.

Nie ginąć też nam przecie tak nędzną śmiercią samobójczą i nie ginąć nam tak łatwo pod ciosami amerykanizmu!

Więc powstał znów duch polskiego

kapłana; duchowieństwo polskie, rozrzucone po obszarach Stanów Zjednoczonych, na głos swego Pasterza złączyło się w sejmie w Detroit. Nie o ambicje przywództwa tu chodziło, boć przecież ten Pasterz chciał połączyć całe wychodźtwo w jedną wspólną myśl i w jeden wspólny czyn—w Związek Jedności. Zatem chodziło tu o co innego—o podwaliny bytu narodowego naszej tutaj imigracji: więc o moralność chodziło, która jest podstawą



Pomnik T. Kościuszki w Waszyngtonie.

wszelkiego bytu społecznego, zatem chodziło o religję; duch polskości, więc kultura polska, zatem szkolnictwo i prasa były celem zjazdu; wreszcie o siłę jedności, która spaja wszystkie poszczególne jednostki w jedną całość narodową, zatem o patrjotyzm tam chodziło. Sejm w Detroit skrystalizował się w haśle: „Bóg i Ojczyzna!"

Z nadzieją spoglądamy w przyszłość. A jak shańbił się obóz ambicji, rozsyłając zawiadomienia o odroczeniu sejmu, tak shańbi się on nieraz jeszcze w różnych podstępach; musimy być na to przygotowani, bo przepotężną jest siła ambicji. Wszakże do zwycięztw idzie się przez nadzieję, nawet wbrew samej nadziei. *Ks. B. Bojanowski.*
Watervliet N. Y., 1 marca 1912 r.

Kapłani nasi polscy tworzyli to wszystko, co dziś posiadają Polacy w Ameryce Północnej. Oni tworzyli kościoły i parafje, oni tworzyli zaraz szkółki parafjalne, ale i tego było mało. Widzieli bowiem kapłani, że jest jedna siła, która może dużo popsuć, lub naprawić—względnie do tego, jak będzie pokierowana—a siłą tą jest piśmiennictwo.

Konfesjonał, kazalnica—było to za mało. Wróg nasz nie spał. Ambicja, chcąc wyzyskać okoliczności i tu tworzyła szeregi tych ludzi, którzy przykrywając się płaszczykiem pracy społecznej, dążyli by łatwym sposobem zapewnić sobie wygodny byt. Oszuści, ludzie bojący się pracy tworzyli tę literaturę tak zawsze liberalną, zwalczającą Kościół, bo przeszkadzał lud wyzyskiwać; literaturę, która za zadanie sobie postawiła znieważać religję, tępić wiarę ludu, nie przebierając w środkach, nie gardząc kłamstwem, przesadą i tanią sensacją, graniem na namiętnościach ludzkich, a jedynym celem tej roboty było marne złoto, do którego wyciągały się brudne ręce.

Nie spał Kościół i w Ameryce. Mimo tej nienawiści niepowołanych przewodników ludu, mimo potwarzy i oszczerstw stanęli mężnie kapłani na swym posterunku, stworzyli prasę katolicką, potężną, wielką, idącą w lud, protestującą przeciwko każdemu bezprawiu, ostrzegającą przed każdem niebezpieczeństwem. Napróżno tamci od tak zwanej w Ameryce „żółtej" prasy podnieśli całą burzę, napróżno te wrzaski „precz stąd klechy, idźcie do swych brewiarzów i kościoła"—nie drgnęli prawdziwi obrońcy Kościoła i ludu, dalej prowadzili mrówczą pracę i pełnili swój obowiązek. W ten sposób mianująca się „ludowo-postępową" prasa, spotkała potężnego przeciwnika w prasie katolickiej; „postęp" do zezwierzę-

cenia prowadzący spotkał przegrody na swej drodze, gdyż przeciwnik demaskował tych narzucających się przyjaciół ludu i zwracał uwagę na ten podejrzany brzęk złota, odzywający się wciąż tam, gdzie o ideałach i pracy ideowej tyle mówiono.

Lecz i tego mało było. Trzeba zrzeszyć lud, trzeba stworzyć jedną potężną, jednolitą masę, któraby mogła się bronić od „zamerykanizowania się". I tam stał potężny wróg. Przy największej wolności wyznań i narodowej pracy—jedno było tam straszne widmo, smok ten wszystko pożerający—„amerykanizm".

I znów kapłani tę wielką pracę zrzeszenia ludu podejmują. Zjawiają się rozmaite towarzystwa oświatowe i dobroczynne.

Nareszcie dojrzała myśl, aby połączyć wszystkich pracowników społecznych, ujednostajnić pracę wszędzie, dać możność łączenia się nietylko w pojedyncze kółka, ale w jedną ogromną, obejmującą kraj cały organizację z ludzi dobrej woli, kapłani tworzą Związek Narodowy, który ma złączyć wszystkich. 80.000 członków już pracuje w nim. Każdy emigrant przybyły ze „starego kraju" znajduje w nim pomoc i radę. Rozwija się praca Związku dobroczynna, oświatowa; Polski dom daje emigrantom czasowy przytułek. Niestety i do tej pracy ogromnej, do tej wspaniałej instytucji przedostają się elementy złe, wywrotowe, ludzie bez wiary, podejrzanej opinji, wciskają się przez intrygi do zarządów, zaczynają przyjmować żydów, socjalistów niezależnych. Cała masa tych warchołów z biskupem odszczepieńcem Hodurem na czele, zaczyna rej wodzić w Związku. Sam Związek staje się niewolnikiem pewnej partji, zaczyna się szykanowanie księży, poniewieranie katolików, tak że wszyscy księża co do jednego występują ze Związku, a nawet ci, którzy byli jego pierwszymi twórcami. Smutny widok przedstawia ta wspaniała niegdyś instytucja—zamiast być łącznikiem—staje się szerzycielem nienawiści i niezgody, zamiast nieść ludowi zdrową naukę staropolskich ideałów, przyłącza do amerykanizmu niezależnych, razem z nimi niszcząc wiarę katolicką.

Jednak księża nie opuszczają rąk—dalej tworzą, dalej walczą z tym nowym wrogiem, powołując do życia ogromną instytucję—Zjednoczenie polskie rzymsko katolickie z siedzibą w Chicago. W krótkim czasie liczba członków wzrasta do 75.000. Księgarnie, pisma, drukarnie powstają jedno po drugiem, a wszędzie lud ma zdrową katolick opiekę.

Wspominaliśmy o niezależnym i samozwańczym biskupie Hodurze. Jest



Charakterystyka działalności postępowców.

to jedna z klęsk, która nawiedziła Kościół polsko-katolicki w Ameryce. Walcząc przeciw groźnemu dla Polaków „amerykanizmowi", nieżyczliwem okiem patrzącemu na polskich kapłanów, biedny lud nasz wpadł w pułapkę, zastawioną przez ludzi złej woli. Kilku osobników mało wykształconych, zepsutych, chciwych pieniędzy postanowiło skorzystać z rozpaczy ludu. Przywdziewając na się maskę patrjotyzmu, postanowili oni oderwać od matki-Kościoła Polaków amerykańskich. Mamiąc

lud fałszywemi hasłami, próbowali oni założyć „kościół polski niezależny od Rzymu". Niejaki Kozłowski, wypędzony braciszek ks. Zmartwychwstańców, wyświęcony w Rzymie na podstawie sfałszowanych dokumentów, szewc z powołania, uzurpował sobie władzę biskupią, mianując się biskupem niezależnym. Obecnie warcholi drugi podobny uzurpator, biskup Hodura.

Łatwo się można było poznać na ich przewrotności—niedługo wylazły ukryte pozory. Przy pierwszym wybuchu walki najgorszych elementów przeciwko Kościołowi, nazywających siebie „postępowcami", wyzutych z wszelkich ideałów moralności, kupczących swemi przekonaniami--ci „niezależnicy" pierwsi do nich się przyłączyli. Walka przeciwko Kościołowi, wyzysk był ich jedynym celem, a jakiemi drogami do niego dążyli, mniejsza o to. Mniejsza o to, że zgubę gotowali swemu narodowi, mniejsza o to, że siejąc niezgodę, osłabiali lud do walki, mniejsza o to, że zatruwali duszę tego ludu—im chodziło o brzęczące złoto, im chodziło o zaspokojenie najbrudniejszych ambicji, więc każda droga do tego im była miłą.

Dzięki Bogu, ten quasi katolicyzm niezależny już upada. Samozwańczy biskup Kozłowski strasznie się zdyskredytował. Jego czyny oszukańcze i życie niemoralne zaprowadziły go przed kratki sądowe, tak, że jest wielka nadzieja, iż samozwaniec Hodura będzie ostatnim z tych warchołów.

Dzięki Bogu, lud nasz poznał się na swych narzucających mu się „przyjaciołach". Naprózno tyle oni pisali o pracy narodowej, o ratowaniu ludu. Wszak zjawić się mogli tylko zawdzięczając stosunkom anormalnym—zdrowe społeczeństwo nie zniosłoby takich samozwańców.

My, katolicy, znamy tylko jedną pracę narodową—razem z Kościołem i wiarą świętą. Chrystus z narodem, a naród z Chrystusem. Cały naród musi czcić Boga, jak każdy pojedyńczy człowiek. A dla tych, którzy bez Boga chcą prowadzić lud—niema miejsca wśród nas.

O ile coraz więcej poznaje się lud nasz na tych drogach, któremi prowadzi Związek narodowy, o tyle coraz więcej ufności i przywiązania zdobywa Zjednoczenie polskie rzymsko-katolickie. Coraz to więcej rozszerza ramki swej działalności, a ostatni sejm XXXIII wykazał ogromną potęgę. W łonie Związku utworzyła się polska Rada Narodowa, postanowienia sejmu określają ogromny zakres jego działalności.

Tylko Polak i katolik praktykujący może należeć do Zjednoczenia polskiego. Postanowiono wydawać pismo ilustrowane. Mają być otwierane ochronki i szkoły polskie. Mają być czynione kroki dla wprowadzenia języka polskiego do szkół obcokrajowych, mają być wydawane stypendja uczącej się młodzieży. Ma być urządzony dom emigracyjny i przytułki dla starców i kalek. Uznając pożyteczną pracę polskich niewiast, powiększono liczbę Polek w zarządach i instytucjach. Sejm ten popchnął naprzód pracę zbożną ogromnie i wytknął jej drogi. Powtarzano i jeszcze raz ogłoszono zasadę: „z polskim księdzem—polski lud".

Odczuwając potrzebę zrzeszenia się młodzieży, założono polski związek Akademicki w Stanach Zjednoczonych. Cel jego—szerzenie polskości wśród młodzieży akademickiej, kształcącej się w wyższych zakładach naukowych amerykańskich, wytwarzanie łączności z krajem, wzajemne kształcenie się i informowanie Amerykanów o literaturze, historji i w ogólności o sprawie polskiej. Naturalnie, celem Związku ma być też pomoc materjalna biedniejszym akademikom.

Całej tej pracy społecznej przewodnikami i pionierami mają być kapłani polscy. Oni mają być „solą ziemi", oni mają bronić lud od wynarodowienia i od wpływów szkodliwych.

Ale trzeba było samych kapłanów utrzymać na tej wysokości powołania. I oni też wszak potrzebowali zrzeszenia się, któreby im nadało polotu orlego i sił do pracy, tej siły olbrzymiej tytanów, której od nich młode społeczeństwo amerykańskie potrzebowało. Więc stworzono organizację „Zjednoczenie

kapłanów polskich w Ameryce Północnej".

Działalność tej organizacji była ogromna, ożywiała ona ducha kapłanów, podtrzymywała słabszych—siły niewyczerpane nadawała pracownikom.

Nie małego znaczenia było posiedzenie dyrektorjum pod przewodnictwem prezesa ks. biskupa Rhodego 15-go stycznia 1914-go roku, w parafji nowokonsekrowanego ks. biskupa Kozłowskiego w Milwaukee. Uchwalono, żeby redaktorem dwutygodnika „*Przegląd katolicki*" był ks. dr. Szopiński, zbieranie danych statystycznych zlecono ks. Chodkiewiczowi.

Przy tych organizacjach katolickich płynęło spokojnem korytem życie katolickie. Kościół coraz więcej potężniał. Konsekracja dwóch pierwszych biskupów polskich Przewielebnych ks. Rhodego i ks. Kozłowskiego pchnęła naprzód ten pochód zwycięzki, kroczący niezachwianie wśród licznych wrogów i przeszkód narodu. A wrzaski nienawiści tych wrogów powstrzymać go nie w stanie i będzie lud kroczył tą drogą do prawdziwego postępu—na czele z kapłanami—z polskim księdzem — polski lud.



Z Nev-Yorku.

ROZDZIAŁ V.

Ksiądz biskup P. Rhode.

Dzięki niech będą Bogu i Wielkiemu papieżowi Piusowi X, że Polonję amerykańską obdarzył już dwoma biskupami polskimi, albowiem całe tutejsze wychodźtwo ukształtowało się prawidłowo, podług zasad religji katolickiej i wymagań narodowości. Dwie konsekracje polskich biskupów w Ameryce są dwoma nowemi epokami w życiu narodu i przeobrażeniu się Polonji tutejszej w społeczeństwo zwarte, silne, wysoko o swej godności myślące, oraz społeczeństwo zdecydowane w osiągnięciu swych narodowych celów i wywalczeniu przynależnych sobie praw na obczyźnie. Potrzeba nam tylko zebrać statystykę nową, a osiągniemy więcej. Nadszedł wreszcie czas, że światli obywatele amerykańscy zaczynają podziwiać naszą mrówczą pracę i dorobek narodowy, który powstał wśród tysiącznych trudności i wbrew życzeniu hierarchji amerykańskiej, szowinistów—amerykanizatorów i biedoty, oraz braku odpowiedniej oświaty dobrego (mówiąc ogólnie) naszego ludu. Był czas, że główni pionierzy polskości, księża świeccy i zakonni, jako zawsze tu prym na każdem polu społecznych potrzeb trzymający, i panowie niektórzy z wyrobieniem ducha katolickiego (z kapłanem i ludem pracownicy)—zaczęli wątpić, czy mamy dość siły i odporności na tak zagorzałe napaści, spadające na Polonję, jak pioruny niespodziewane z jasnego nieba—a oto dziś stało się inaczej. Polak każdy jest z krwi i kości katolikiem, z wiary czerpie natchnienie i chęć do pracy i o tyle zwykle coś wart na świecie, o ile jest dobrym katolikiem,—wreszcie pojął instynktownie, że tylko więcej biskupów polskich potrzeba, a będzie dobrze.



Ks. biskup Paweł Rhode.

Wielkie na tej drodze natrafiliśmy przeszkody, jak możecie się przekonać ze wspaniałego referatu J. E. ks. biskupa E. Kozłowskiego na wiecu kapłanów polskich Ameryki Północnej, odbytym przed paru laty w Detroit, a który to referat przesłałem 1913—14 r. do *Przeglądu powszechnego* w Krakowie. Był to brak nie z naszej winy. Przeto naród próbował brak ten zastępować, idąc często nawet błędną drogą, słuchając głosu fałszywych „proroków" i oszustów i niby to z woli ludu powstałych „niezależnych biskupów", z których najgłośniejszym może i najwięcej szkodliwym był niezależnik Kozłowski. (Dobrze, że nazwisko to zbeszczeszczone w Królestwie Polskiem i Ameryce zostało jednak oczyszczone tak tam, jak i tu przez prawdziwych książąt kościoła katolickiego).

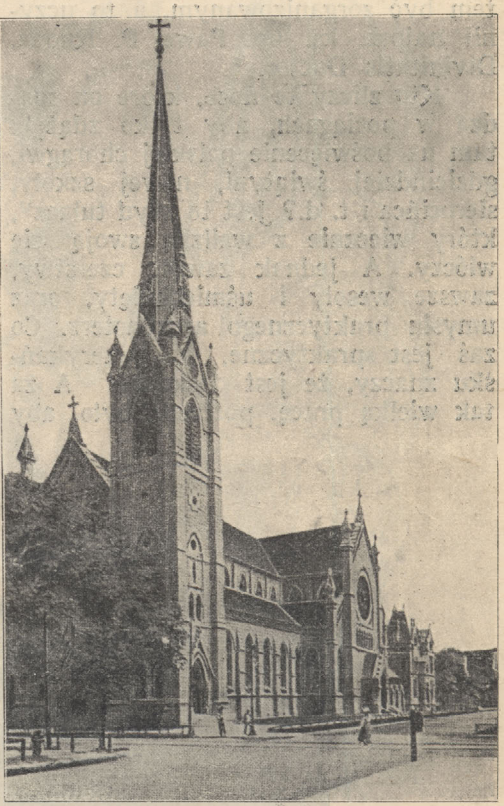
Przeszło 3 miljonowa zjednoczona brać nasza w Stanach Zjednoczonych, posiadająca 700 kościołów parafjalnych z przeszło 500 szkołami i prawie 100 księżmi rodakami, rozsypana prawie

po całym kraju wolności Waszyntgona, Kościuszki i Puławskiego, obecnie zwyciężyła ponownie, pracując na polu odrodzenia narodowego w myśl sasad Kościoła, gdyż jęki i prośby naze dostały się też i poza progi Watykanu.

Wielki entuzjazm powstał w Polonji, gdy Stolica apostolska mianowała ks. Pawła P. Rhodego biskupem sufraganem archidjecezji Chicagowskiej, którego konsekracja i imponująca manifestacja polsko-katolicka odbyła się w Chicago dnia 29 lipca 1908 r. (adres N 8241 Bond ave, South Chicago, Ill.) Wybór pierwszego biskupa polskiego w Ameryce, padł pomyślnie, jako na osobistość zupełnie nadającą się do takiego stanowiska. Bp. Rhode jest wprawdzie urodzony w starym kraju, ale całkowite wykształcenie otrzymał w Ameryce i zna wybornie i ducha i potrzeby tego kraju. Nadto jest człowiekiem bardzo wytrzymałym i nie łatwo kto inny mógłby podołać temu zadaniu, objeżdżając przy różnych okazjach liczne kolonje polskie ze słowem bożem i pociechą pasterską. Jako Polak z krwi i kości oddaje niepospolite usługi całemu społeczeństwu polskiemu. Największą jego zasługą jest połączenie polskiego kleru w jedną organizację „Zjednoczenie kapłanów polskich w Ameryce Północnej”, której istnienie rozwija się pomyślnie. Z tego powodu powstały osobne koła polskich kapłanów bądź djecezjalnych, bądź prowincjonalnych stowarzyszeń, a jest ich 15 w 1914 r., które pracują nad potrzebami okolicznych kolonji. Trzeba wiedzieć, że kler polsko-amerykański dzierży prym we wszystkich sprawach zagadnień społecznych. Ksiądz jest dla ludu naszego prawdziwym pionerem odrodzenia i oświaty i gdzie go niema, tylko okruchy polskości oglądać można.

Albowiem gdy spojrzymy na świeckich działaczów, wyjąwszy organizacje katolickie, to są zwykli ludzie, czasem wykolejeni w kraju i tu rzadko poprawni, a czasem nawet ludzie, szukający tylko zysków dla siebie. Weźmy np. redaktora, często niedouczonego nawet, który potrafi na dwóch stołkach siedzieć: dziś, pracując przy wydawnictwie katolickiem, jako gorliwy asceta, a jutro przy „żółtakach”, przeklinając Kościół i wszystko na ziemi.

Polscy księża w kraju, nie mają pojęcia o pracy kapłana polskiego w Ameryce. Gniewają się, że się im nie da sprawozdania ze ślubu, choć tego uczynić niepodobna z braku przewodnika adresowego i łokciem swoich



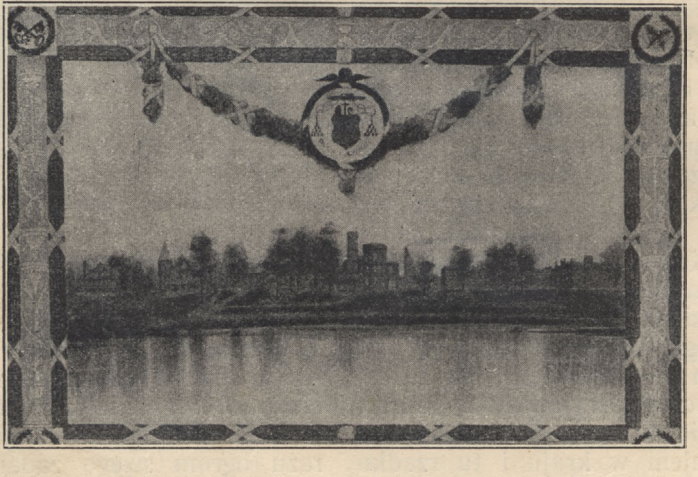
Katedra w Chicago.

poglądów mierzą nasze tu usługi. Tymczasem, gdy który z nich dziś tu się zjawi i zdoła dostać posadę, to nie potrafi na niej usiedzieć, a rzadki to wyjątek, aby taki umiał pojąć odrazu ogrom swego zadania w pracy nad potrzebami powierzonego sobie ludu. Łatwo jest proboszczować, dostając pensję stałą od rządu, czytać

księgi i nabożeństwo odprawić. Ale tu trzeba być wszystkiem dla wszystkich. Gdy kapłan nie pomyśli o czem, to zwykle rzadki jest okaz inny, aby rzucił pożyteczną inicjatywę, stosowną dla kolonji. Zaś kto potrafi rozgoryczone i poważnione towarzystwa pogodzić, gdy ksiądz się w to nie miesza. Gorąca jest krew polska! Stąd wynika, że kler polski, stojąc na stanowisku, musi podołać wszystkiemu, musi zatem być zorganizowanym, a to uczynił najprz. ks. bp. Paweł P. Rhode, Divinitatis Doctor.

Kto zliczy te noce, które on spędza w pociągach, aby tylko zdążyć: tam na poświęcenie polskiej chorągwi, gdzieindziej świątyni, nowej szkoły, sierocińca i t. d.? Jest to „żyd tułacz", który wiecznie z walizką swoją się włóczy. A jednak zawsze czerstwy, zawsze wesoły i uśmiechnięty, oraz umysłu praktycznego arcypasterz. Co zaś jest praktyczne, po amerykańsku znaczy, że jest doskonałe A za tak wielką pracę, potrzeba było, aby był, jako nasz wódz i król duchowny— jedyny dotychczas w tym kraju — cierniem ukoronowany, co jednak chętnie przyjmował. Pragnął on przeprowadzić zjednoczenie organizacji katolickich w „Jedność" czyli spójnię działań i zagadnień narodowych. Opracował z odpowiednim komitetem złożonym z duchownych i świeckich pracowników społecznych w St. Zjedn. całkowitą konstytucję, która wkrótce miała wejść w czyn. Lecz czas i wypadki wojen bałkańskich przyspieszyły tę sprawę, że te organizacje i główne punkta konstytucji zostały wcielone w Polską Radę Narodową w Ameryce, przy założeniu której wielkie zasługi położył ks. Edward Kozłowski, obecnie drugi biskup polski w Ameryce.

Polonja bez biskupa Rhodego byłaby dalej wątłą, dalej błąkającą się po bezdrożach. Opatrzność boska jednak czuwa nad nami i zsyła nam pomoc odpowiednią. Kto podda się woli bożej, nie zginie, ale żyć będzie na wieki.



Widok budynków Seminarjum polskiego z parku Orchard Lake, Mich., z jeziora oglądany.



Kobiety walczące o prawa wyborcze.

ROZDZIAŁ VI.

KSIĄDZ BISKUP E. KOZŁOWSKI.

Dzień 14 stycznia 1914 roku stał się dniem historycznym dla Polonji amerykańskiej, z powodu konsekracji drugiego polskiego biskupa ks. Ed. Kozłowskiego. Ma on znakomite wykształcenie starokrajskie i nadto jest bardzo lojalnym w zastosowaniu się w każdem położeniu. Po bankiecie w audytorjum katedralnem słyszałem głosy licznych księży ze wschodu i zachodu, że nie myśleli wcale, aby mógł przez całą godzinę wyborną angielszczyzną ująć w swej mowie tyle trafnych i tak żywo nas obchodzących spraw. Przedstawił ks. bp. Kozłowski, że dobrze nam, Polakom, będzie, gdy pracować nie ustaniemy w duchu Kościoła katolickiego i potrzeby Kościoła całego uważać będziemy za potrzeby własne. Przedstawił arcybiskupom, biskupom i kapłanom potęgę narodu polskiego, jego krzywdy i jego nadzieje, podziękował arcybiskupowi Messmerowi, że na niego niegdyś zwrócono oczy, przedstawiając go Stolicy apostolskiej na biskupa. Zwrócił się wreszcie do trzech biskupów, obecnych tamże i swego też dawnego rektora semin., pof. apost. Reinera, dziękując, że głoszą słowo Boże po polsku i pracują dla pożytku ludu polskiego w tym języku.

Życiorys ks. bisk. Kozłowskiego.

Największym dowodem niezbadanej Opatrzności Bożej, kierującej Kościołem, jest fakt tak często powtarzający się, że zawsze w potrzebie posyła Pan Bóg Kościołowi mężów, którzyby dzielnie bronili go od wrogów. Nie łatwe było stanowisko kapłanów w Ameryce, zmuszonych walczyć za lud nasz z tylu wrogami, więc bezwątpienia powołał Pan Bóg do swej winnicy odpowiedniego szermierza w osobie ks. biskupa Kozłowskiego. Jest to mąż nieposzlakowanej cnoty, życie którego daje tyle dowodów ogromnej miłości i do Kościoła i do Ojczyzny — tyle czynów prawdziwie obywatelskich, tyle miłości czynnej. Cnoty te dawały pewność, że ks. Kozłowski potrafi stanąć na czele kleru polskiego, na czele tej pracy wszechstronnej, — a że rozumiał ją, łatwo przekonać się i z jego przemówień i z jego działalności.

Przybył ks. biskup Edward Kozłowski do Ameryki z Galicyi. Urodził się w Tarnowie 21 listopada 1860 roku, jeszcze w dzieciństwie okazywał wiel-



Ks. biskup E. Kozłowski.

kie zamiłowanie do nauk i niepospolite zdolności. Z odznaczeniem skończył on studja gimnazjalne, a potem, odbywając służbę wojskową, jako jednoroczny, uczęszcza na wydział prawny w Uniwersytecie krakowskim.

Ale nie rwała się młodzieńcza dusza ani do godności, ani do majątku. Nie wygodnego i spokojnego życia poszukiwał on, lecz życia pełnego poświęcenia i pracy dla ludu — i to właśnie na placówce najpotrzebniejszej.

Już wtedy lud podlegał tej strasznej chorobie, która dziś go dziesiątkuje—

emigracji. Bardzo zły stan ekonomiczny dzielnic polskich, brak zarobków, głód zmuszał lud nasz z rozpaczą w sercu rzucać swe łany ukochane i dążyć do dalekiej jeszcze mało znanej Ameryki. A tam czekała na niego ta rzesza awanturników, którzy, nie będąc w zgodzie z prawem w swym kraju, — lekkiego chleba i życia wygodnego na obczyźnie poszukiwali. Dążył tam lud do tej Ameryki — a tam nie spotykał go jak dzisiaj kler polski zorganizowany, szkoły i polskie parafje — czuł tam głód straszny słowa Bożego, brak kapłanów rodaków, brak przewodników duchownych. I gdy z siekierą w rękach przedzierał się przez dziewicze lasy, gdy rozpacz w sercu i tęsknota rwały jego serce — nie było tak blisko przyjaciół jego— pasterzy ludu.

Prawie sami tylko ks. Zmartwychwstańcy, dążąc do jednego z celów swego zgromadzenia — podtrzymywania na duchu emigrantów — szli za ludem do tego kraju nowego.

Odczuł młodzieniec tę potrzebę największą ludu, przeto postanowił poświęcić się apostolstwu wśród najnieszczęśliwszych.

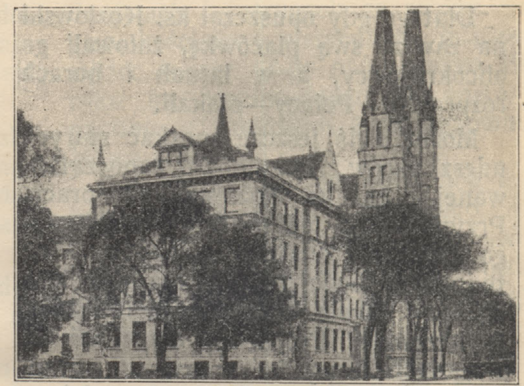
Udał się do Ameryki, Lecz dokąd zwrócić się o radę i pomoc w wykonaniu planu?

Rozbrzmiewała wtedy daleko chwała zasłużonego kapłana ojca Zmartwychwstańca ś. p. Wincentego Baczyńskieco. Chciał ten ojciec zwerbować młodzieńca do swego Zgromadzenia, widząc zdolności jego posłać do Rzymu na studja teologiczne — jeżeli zechce być ks. Zmartwychwstańcem. Lecz młodzieniec stanowczo odmówił. „Nie czuję powołania do zakonu — odpowiedział ks. Kozłowski, chcę być księdzem świeckim, a jeżeli nie mogę nim zostać w djecezji Chicagowskiej, to będę się starał o przejście do innej”.

Ofiarę życia jego przyjął Pan Bóg, otworzył mu podwoje do winnicy Pańskiej.—

Przez protekcję księży Ludwika Matkowskiego i proboszcza kościoła św. Wojciecha w Grand Rapids — zostaje on przyjęty przez J. E. ks. biskupa Richtera do nowotworzącej się djecezji Grand Rapids Mich., kończy chlubnie seminarjum w Milwaukee Wis, i zostaje wyświęcony na kapłana 29 czerwca 1887 r.

Nie dała mu władza długo spoczywać: wkrótce wysłał go ks. biskup na proboszcza parafji św. Brygidy w Midland Mich., gdzie pracował jako prawdziwy apostoł Boży, często o głodzie i chłodzie, dojeżdżając do oddalonych punktów jej, niosąc pomoc duchową i słowo Boże swym parafjanom, a byli oni najrozmaitszych narodowości: Irlandczycy, Niemcy, Francuzi, Polacy. Jeszcze nie zorganizowały się te kolonje — parafje jednolite — jeszcze nie miał on możności pracować dla swoich. Poznał wkrótce ks. biskup gorliwość ks. Kozłowskiego ,więc właśnie tam go posyłano, gdzie najwięcej była niebezpieczna i trudna placówka.



Kościół ks. Jezuitów z uniwersytetem.

Gdy w roku 1888 ruchawka szalona nawiedziła polską parafję Królowej Różańca świętego (East Saginar), a lud na tyle był zburzony, że proboszcz i założyciel jej ś. p. ks. Tyszkiewicz był zmuszony ją porzucić, a biskup zamknął kościół — po 6 miesiącach kazał biskup objąć opuszczoną parafję na prawach misyjnych, odprawiając tylko w jedną niedzielę na miesiąc nabożeństwa.

Nie zawiódł ks. Kozłowski zaufania biskupa. Potrafił on w krótkim czasie uspokoić parafję, tak, że już spokojną i wzorowo urządzoną oddał ją swemu następcy ks. Grochowskiemu.

Z niemniejszą energją zajął się on organizacją porozrzucanych Polaków w powiecie Bay około Williamstown i Beawer — założył nowe polskie szkoły, a dla braku środków prowadził je tylko po 3 miesiące rocznie.

Nie zapomniał też ks. Kozłowski o polskich towarzystwach. Wiedział on, że tylko wtedy tu praca przyniesie pożądane owoce, gdy będzie oparta na mocnych podstawach, gdy zrzeszony lud będzie szedł ze swymi pasterzami ręka w rękę. Zakłada przeto ks. Kozłowski w Beawer Tow. św. Walentego a w Williamstown — św. Józefa.

Dlatego gdy opuszczał ks. Kozłowski na zawsze swą placówkę, żałowali go obcokrajowcy, a w lasach i borach rozproszeni Polacy—płakali.

Można dziś jeszcze spotkać starych mieszkańców, świadków zapoczątkowanej przez ks. Kozłowskiego pracy. Przypominają oni prorocze słowa swego pasterza i mistrza: „Chłopcy, gdzie te pieńki, będą polskie osady z kościołem i szkołą, tylko odważnie i śmiało naprzód!" Proroctwo wypełniło się w oczach naszych — dziś te rozrzucone placówki tworzą potężne, dobrze zorganizowane parafje.

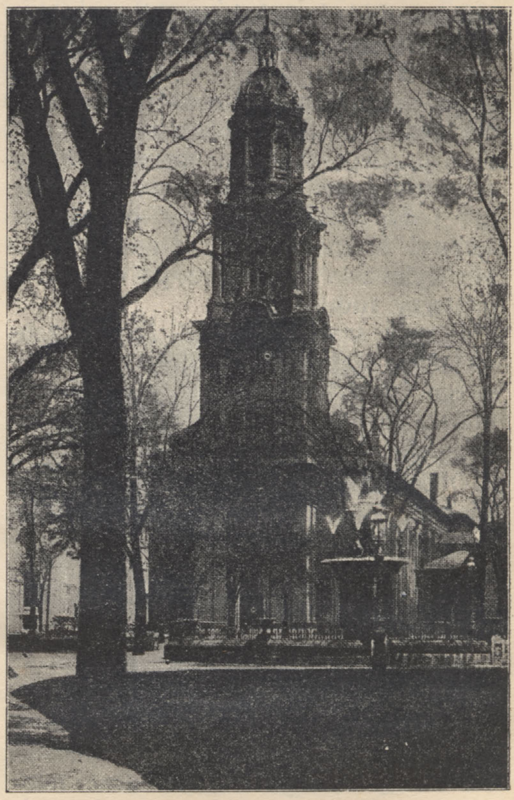
Ks. Kozłowski w Manistce.

Nie tylko obcokrajowcy i Polacy oceniali prace apostolskie ks. Kozłowskiego — ale i jego przełożeni duchowni — dlatego posłał go ks. biskup Richter znów, aby uspokoił wzburzoną polską parafję św. Józefa. Po wypadkach smutnych i gorszących rozterek, wsparty łaską Bożą, w krótkim czasie nowy pasterz uspokoił parafję.

Wrócił lud do równowagi i zaczął pracę zbożną, ręka w rękę ze swym pasterzem.

I zaczęła się znów ta olbrzymia twórcza praca, której owocami były przedewszystkiem — wspaniały budynek szkoły parafialnej, a zatem podział dużej parafji na dwie.

Znów powołała ks. Kozłowskiego Opatrzność Boska do trudnej pracy—uspokojenia wzburzonej parafji św. Stanisława w Bay City, Mich., — prędko zapanował i tu pokój i znów nadal



Kościół św. Jana w Milwaukee, gdzie odbyła się konsekracja ks. bis. E. Kozłowskiego.

praca twórcza, praca żywotna. Powtarzanie i opis tych czynów znudziłoby czytelnika — znów w rozstrojonej parafji po nastąpieniu pokoju, jak różdżką czarodziejską powołuje ks. Kozłowski do życia jedną za drugą instytucyę, zdobi kościół, zakłada szkołę, nabywa nowe grunta i t. p. Na pomoc sobie w zbożnej pracy, w wychowaniu młodzieży — sprowadza

do parafji ks. Kozłowski siostry Felicjanki.

Co się tyczy kościoła, ks. Kozłowski podniósł go do takiego stanu, że nawet obcy śpieszyli tam na nabożeństwo, zachwycając się wspaniałą świątynią.

Znów zwraca uwagę na biednych, rozproszonych Polaków — przybyszów, daleko mieszkających od świątyni i tworzy nową placówkę, w daleko leżącej od kościoła dzielnicy — tak zwanej Standish, a 200 rodzin osiadłych tam Polaków d. 1 sierpnia 1911 r. dostają nowego proboszcza ks. Podlaszewskiego, który osiada przy drewnianym kościółku, zbudowanym przez ks. Kozłowskiego na 5-ciu akrach ziemi, nabytej przez niego.

Zdawało się, że życia ludzkiego nie wystarczyłoby na wykonanie tych wszystkich olbrzymich prac, ale dokonywały się one tak chyżo, że, zdaje się, przynosiły je kipiące fale jakiejś olbrzymiej rzeki działalności.

Lecz gdybyśmy tylko o tem pisali, byłoby krzywdą temu wielkiemu mężowi Bożemu, bo działalność jego daleko sięgała, swem kołem otaczała całą amerykańską Polskę.

Jego cnotom i pracom zawdzięczają ziomkowie nasi po części to uznanie i szacunek, które zdobyli u Amerykanów. On to wszystkich wpływów swych używał, żeby wzmocnić położenie ludzi uczciwych i zdolnych, gdy do stanowiska odpowiedzialnego dochodzili. Nieraz, gdy spostrzeże takiego pracownika odpowiedniego, nie składał rąk, nim nie doprowadził go do tego stanowiska, na którem mógłby być pożytecznym swemu narodowi i chlubą dla ziomków.

Niewyczerpany on był w swej uczynności, gdy trzeba było komu dopomódz w wykształceniu — nie wstrzymywał się przed największą ofiarą.

Nic dziwnego, że ks. Kozłowskiego otaczano czcią i szacunkiem, wiedziano, że wtedy tylko złączona praca ludzi dobrej woli i kochających swój lud przynosi dobre owoce, gdy szermierze za sprawą Bożą skupią się przy swym przewodniku — mistrzu, który dla sprawy poskiej, dla sprawy Bożej nie żałował ani grosza, ani czasu, ani pracy.

Widzimy go obecnym i czynnym na wszystkich sejmach, zjazdach, naradach a najczęściej przewodniczącym.

Umiano go wyróżnić.

Na ile oceniono zasługi przew. ks. Kozłowskiego widać stąd, jak się odezwało całe społeczeństwo na jego jubileusz dwudziestopięcioletni, przypadający 30 czerwca 1912 r. Zdaje się głosy hołdów rozbrzmiewały w całej Polonji amerykańskiej, a liczne protokóły stowarzyszeń i parafji jakby były koroną, włożoną na głowę zasłużonego męża.

Oceniło ks. Kozłowskiego i społeczeństwo, ocenił Rzym, po wielu trudnościach i intrygach ze strony wrogich kościołowi elementów, mianował Ojciec święty 13-go października 1913 roku ks. Kozłowskiego biskupem in partibus Germińskim i sufraganem w Milwaukee.

Całą doniosłość tej nominacji i jej potrzebę dla kościoła polskiego, najlepiej nam wytłómaczy ta nienawiść, która wybuchła przeciwko ks. biskupowi w tak zwanej partji postępowych.

Kazanie J. E. ks. Biskupa Kozłowskiego w dzień konsekracyi.

Żeby zrozumieć duszę kapłana i biskupa, najlepiej posłuchać słów jego, wypowiedzianych na ambonie, a szczególnie przy ostatnich okolicznościach. Wprawdzie życie i czyny są najlepszymi świadkami, ale gdy taki pracownik w winnicy Pana nad Pany po raz pierwszy do owieczek swych przemawia, słowa jego mogą być odpowiedzią na pytanie trwożliwe tych owieczek— czego możemy się spodziewać od przyszłego pasterza? Dlatego chcąc wskazać na program nakreślony w pracach przez ks. biskupa Kozłowskiego, postanowiliśmy przytoczyć czytelnikom

mowę, wypowiedzianą przezeń w dzień jego konsekracji.

Jeślibym Cię zapomniał, Jeruzalem, niech zapomnianą będzie prawica moja, niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego, jeślibym na Cię nie pomniał, jeślibym nie pokładał Jeruzalem na początku wesela mojego.— Ps. 136, 6, 7, 8.

Dziwne doprawdy a sprzeczne uczucia miotają sercem mojem w tej podniosłej i uroczystej chwili. Gdy spojrzę poza siebie, jak daleko pamięć sięga i przypomnę sobie całe życie moje, i rękę Opatrzności, co mimo niewierności i nieprawości moich wypiastowała mnie na swem łonie troskliwem i szczęśliwie przeprowadziwszy mnie aż dotąd przez żywot, który ciągłym] był bojowaniem, dzisiaj stawia mnie na piedestale godności biskupiej, — pierś rozpiera radość, serce tonie w uczuciu wdzięczności, a dusza rwie się do Pana, pragnąc intonować uroczyste: „Magnificat", „Wielbij duszo moja Pana, iż wejrzał na niskość sługi swego i uczynił mu rzeczy wielkie, który jest można".



Kościół św. Stanisława Kostka w Bay City.

Przyjęcie na moją cześć, które dzięki energji, sprężystości i pełnej poświęcenia pracy Komisji urządzającej, tak wspaniale wypadło, oszołomiło mnie niemal do tego stopnia, że do równowagi wrócić mi trudno. Brzmi w uszach moich „Hosanna" i łzawi się oko z radości na widok szczęścia Polonji milwauckiej, drugie walne zwycięstwo nasze w Ameryce uroczyście obchodzącej. A chociaż „Hosanna" niedzieli Palmowej natrętnie mi przypomina wielkopiątkowe „ukrzyżuj go", to jednak to ostatnie tłumi ów radosny okrzyk tryumfalny: „Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie! Błogosławiony!" i to dodaje otuchy, to krzepi ducha.

Bo też przychodzę do was istotnie w imię Pańskie, bo z rozkazu namiestnika Chrystusowego, Ojca św. Piusa X, który w ogromnej ku nam, Polakom, pod tym wspaniałym sztandarem gwiaździstym miłości i dobroci przez 6 laty dał Ameryce pierwszego biskupa polskiego w osobie szlachetnego, nam tyle drogiego ks. Pawła Rhodego — a dzisiaj mnie niegodnego przysyła wam jako drugiego biskupa polskiego. Prawda, że czekaliście na mnie dość długo, a zacnego naszego arcybiskupa nawet zaczęto posądzać, że nie szczerze postępuje z Polakami, i że obietnicy nie dotrzymał. Dla usunięcia choćby i cienia podejrzenia z jego dostojnej osoby, uważam za stosowne oznajmić, że nominacja moja natrafiła na różne przeciwności z różnych stron, ze strony obcych, którzy nam źle życzą i niestety, co bardzo boli, ze strony swoich, którzy zazdroszczą, lub dla osobistych powodów dobro publiczne każdego czasu poświęcić gotowi. Narzekamy na ucisk, zżymamy się na niechęć obcych, każdej chwili gotowiśmy chwycić za jakąkolwiek broń, by windykować swe prawa, a gdy obcy, w uznaniu tych praw, przychodzą nam z pomocą, my... się denuncjujemy. O jacy∫my biedni!

Jeżeli więc pomimo zaciekłej opozycji dzisiaj do was przychodzę jako prawowity biskup katolicki, to widzę w tem zwycięstwie nie tylko osobiste, ale i walne zwycięstwo sprawy polskiej w Ameryce i wyraźną wolę Bożą. Nigdy bowiem godności tej nie pragnąłem, nigdy się o nią nie ubiegałem, niczego nie przedsiębrałem, aby sobie

jej osiągnięcie ułatwić, a nawet dziatwę szkolną z siostrami prosiłem o modlitwy na moją intencję, którą w sercu ukryłem, a była ona ta, żeby mnie to dostojeństwo minęło. Kiedy mi jednak mimo to ponownie je proponowano, zgodziłem się dopiero wówczas, gdy najbliżsi moi przyjaciele dostatecznie mnie przekonali, że sprawa biskupów polskich, której znanym i gorącym zawsze byłem rzecznikiem, wiele przez odmowę moją ucierpi i znowu w krainę marzeń na lat kilka odesłaną zostanie. Nie mało wpłynęła na moją decyzję i refleksja, że byłoby małodusznością a nawet tchórzostwem usuwać się dlatego, że warunki, wśród których przyjdzie pracować, w Milwaukee, niezwykle są trudne.

Stało się! Dzisiaj zostałem konsekrowany, a przed chwilą Arcypasterz nasz instalował mnie jako proboszcza parafji św. Stanisława B. M. Trzeba tedy przyłożyć rękę do pługa i ani myśleć o oglądaniu się wstecz. A będzie to orka uciążliwa. Trzeba będzie pamiętać o własnej skibie na Stanisławowie, o zagonie milwauckim, gdzie zielsko niezgody i niewiary najbardziej wybujało, i wreszcie — przynajmniej od czasu do czasu — o rozrzuconych po całym obszarze St. Zjed. łanach naszej polskiej niwy katolickiej.

¤ ¤ ¤

Z racji podwójnego charakteru dzisiejszej uroczystości wypadałoby mi przemówić osobno do moich Stanisławowian z okazji mojej instalacji i osobno do ogółu Polonji milwauckiej dobrze tutaj reprezentowanej, z okazji mojej konsekracji. Ważniejszy jest ten ostatni wzgląd, przeto odkładając przemówienie do moich parafjan na później, zwracam się do was, reprezentanci Polonji milwauckiej, w słowach krótkich, bo czas nagli, a tu przed nami jeszcze bankiet obywatelski.

Że w Milwaukee stosunki nasze są anormalne, przyzna każdy; że miasto opamiętania frakcje wojujące coraz więcej pogłębiają dzielącą jej przepaść, jest równie widoczne, gdyż bardzo dobrze wiadomo, że wszelka przesada szkodzi zawsze.

Ale powiedzmy sobie szczerą prawdę. Cofnijmy się w czasy, gdy pasterzowali wam księża, którzy dziś już spoczywają: Górski, Rogoziński, Lewandowski, Tarasiewicz, Grutza. Jakaż tu panowała zgoda, miłość bratnia, jedność. Osada wasza wzorem była dla całej Polonji, stała pod każdym względem wysoko, a katolicyzm wspaniałe obchodził tryumfy. Dzisiaj macie kapłanów również gorliwych, lud polski całą duszą kochających, o rozwój parafji dbałych, a jednak, zajrzyjmy prawdzie w oczy, a przekonamy się, że nie mówiąc już o notorycznej niezgodzie i gorszącej walce, niewiara poczyna robić poważne między wami spustoszenia. W wielu wiara już martwa i tylko ustami chwalą Pana Boga, ale serca ich od Niego daleko. A jednak, jeżeli chcemy pozostać wiernymi synami Kościoła, to nie wystarczy tylko mienić się katolikami, musimy nimi być z gruntu i całą duszą, w życiu prywatnem, rodzinnem i publicznem, w stosunku do swoich i do obcych, zawsze i wszędzie. Jakby to pięknie było, gdyby wszyscy ci, co dawniej jaśnieli życiem na wskroś katolickiem, a ostatnimi czasy zobojętnieli, teraz z przyjściem biskupa polskiego do Milwaukee, zdobyli się na krok stanowczy i powiedzieli sobie: „Wrócę do Chrystusa, jedynego Zbawiciela mojego, wrócę do Kościoła św., jedynej Matki mojej, a wrócę jedyną skuteczną drogą praktyk religijnych, praktycznego życia katolickiego". Ja stałbym na czele i poprowadziłbym ich wszystkich.

¤ ¤ ¤

O jakże bardzo leży mi na sercu ta sprawa pozyskania tych, którzy zobojętnieli. Przejęty jej ważnością dzisiaj, teraz w tej uroczystej chwili ślubuję Bogu i wam, Milwauczanie, przy pomocy niebios być dobrym, wiernym, gorliwym pasterzem, który odtąd każdą chwilę życia swojego, siły wszystkie

i zdolności swoje całkowicie poświęci szerzeniu Królestwa Chrystusowego między Wami i odrodzeniu na zasadach Ewangelji i ulepszeniu opłakanych stosunków milwauckich. Jako wasz wódz podniosę sztandar religijno-narodowy wysoko, a na nim wypiszę: Wszystko dla Boga i Ojczyzny — przez miłość. Tak, miłość względem wszystkich, względem przyjaciół i nieprzyjaciół, względem swoich i obcych — miłość zawsze i wszędzie!

Polityki i stronnictw nie znam. Jestem biskupem dla wszystkich. Biada biskupowi, biada księdzu, który Kościół wmieszał w politykę i wikłając święte sprawy Oblubienicy Chrystusa ze sprawami Belliala, pozwala wodzić się za nos jakiemu stronnictwu. Jesteśmy biskupi i kapłani sługami Boga i wszystkich wiernych i jako tacy musimy stać ponad partjami i stronnictwami. Moje stronnictwo będzie kwintensencją wszystkich istniejących stronnictw i partji; składać je będą ludzie dobrej woli wszystkich stronnictw i partji, którzy szczerze i otwarcie przyznają się do Chrystusa, czynem i życiem udowadniają, że są wiernymi dziećmi Kościoła św.

Przychodzę do was w imię Jezusa, z rozkazu Jego Zastępcy na ziemi, jako biskup nie dla własnej mojej chwały, ale dla was jedynie i wyłącznie. Dla was odtąd pragnę pracować, dla was żyć, a jako uważać mnie będziecie za głowę katolickiego tutaj społeczeństwa, tak pragnę dzisiaj szczerze być i jego sercem. Pragnę tedy cieszyć się waszem szczęściem, smucić się waszymi smutkami, dzielić wasze bóle i radości.

A pobudką wszystkich moich czynów będzie jedynie miłość, ta miłość św. Pawła, która „cierpliwa jest, łaskawa jest, nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewowi, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko przetrwa, nigdy nie ginie". Na tej miłości pragnę ugruntować moją między wami Milwauczanie, którzy mi jesteście odtąd moją dumą, moją nadzieją, moją myślą, moim wszystkiem.

W zamian żądam od was tylko jednego: dajcie mi, błagam was, wasze serca. Błagam o nie, nie dla mnie samego, ale dla tego Pana, którego serce królem serc wszystkich.

¤ ¤ ¤

Wiem dobrze i jasno zdaję sobie sprawę, że ciężka czeka mnie między wami praca i zadanie trudne. Niektórzy, serdeczni moi przyjaciele z życzeniami z powodu mojego do godności biskupiej wyniesienia, przesłali mi równocześnie kondolencję z powodu mojego do Milwaukee przeniesienia. Inni wyrazili obawę, że padnę ofiarą tutejszego smutnego rozdwojenia. Być może że padnę. Wszystko spoczywa w ręku Boga. Jeżeli paść znaczy nie dokazać swego, nie odnieść zwycięztwa, a w naszym wypadku nie zetrzeć głowy hydrze niezgody i wkradającej się niewiary, to jeżeli padnę, stanie się to nie dla braku szczerej chęci i dobrej woli z mojej strony, ale dla braku dobrej woli ze strony tych, którzy wiecznie kłócićby się pragnęli, bo z kłótni ciągną zyski. Na nich, jeżeli padnę, nie na mnie spadnie odpowiedzialność. Jeżeli paść znaczy wyczerpać siły przedwcześnie i zmarnieć w ciężkiej, czasami nierównej walce, to jeżeli padnę, to padnę na stanowisku w obronie prawdy, w obronie Wiary i Kościoła św., w obronie ludu polskiego, jak przystało na biskupa katolickiego. Zresztą w obronie tej świętej Wiary paść jestem gotów, jak padł wielki patron tego kościoła, nieustraszony biskup polski, co pastorałem sięgnął nawet królewskiego tronu, św. Stanisław B. M. I przyśpieszysz, Panie, tę chwilę, bym padł jak najprędzej, jeżelibym śmiał się sprzeniewierzyć świętym obowiązkom, które z sakrą biskupią na się dobrowolnie przyjąłem, jeżelibym miał naruszyć przysięgę, dzisiaj uroczyście złożoną, jeżelibym miał być choć na chwilę złym biskupem, jeżelibym

miał przynieść uszczerbek Kościołowi św. i Ojczyźnie.

¤ ¤ ¤

Zadanie czeka mnie ciężkie, trudnościami zaczęto mi wyściełać drogę już na samym wstępie. Ale silny jestem w Tym, Który mnie umacnia. Wiem dobrze, że „ani, który szczepi jest czym, ani który polewa—ale Bóg, który pomnożenie dawa" (I. Kor. 3. 7.) W Bogu więc, który mię na to pełne odpowiedzialności stanowisko powołał, pokładam ufność, w Najśw. Pannie, Królowej Korony Polskiej, do której od dzieciństwa osobliwsze miałem nabożeństwo, którego nauczyła mię matka moja, kładę nadzieję, liczę także na potężne wstawiennictwo naszego Patrona św. Stanisława B. M. A zapewniwszy sobie w ten sposób asystencję niebieską, polegam w pracy mojej na zacnem, gorliwem, patrjotycznem duchowieństwie polskiem tej prowincji. Jego to zabiegów i starań koroną jest dzisiejsza uroczystość. Księża polscy prowincji milwauckiej, zorganizowawszy się w silną falangę, wystosowali swojego czasu memorjał do arcybiskupa, podpisany przez wszystkich bez wyjątku, wykazujący potrzebę polskiego biskupa dla Milwaukee. Prośba została wysłuchana, polski ksiądz wybrany i Stolicy Apostolskiej przedstawiony, a dzisiaj najprzew. Arcypasterz włożył sakrę biskupią na Polaka całą duszą i powołując go na swego pomocnika w zarządzeniu i pasterzowaniu, podzieli z nim władzę, a w sprawach polskich wolną daje mu rękę. A więc, przewiel. i wiel. kapłani prowincji, jestem tym, o któregoście się starali, któregoście pożądali, biskupem polskim, biskupem waszym. Odtąd wy będziecie mi moją najbliższą rodziną, do was odtąd należy moje serce, wasze szczęście będzie szczęściem mojem, wasze troski mojemi troskami. Zaufajcie mi, proszę. Nie przychodzę wam rozkazywać, ale służyć, pomagać, radzić. Śmiało i z ufnością kierujcie w każdej potrzebie kroki wasze ku plebanji św. Stanisława, jakgdyby nad drzwiami u wejścia widniał napis: drzwi otworem, a serce jeszcze bardziej!

Doświadczenie lat ostatnich przypomina nam zbyt boleśnie potrzebę ściślej łączności i jedności między klerem polskim. Wszak wspólne są nasze cele: zbawienie dusz, dobro naszego ludu i naprawa opłakanych stosunków. A więc razem, drodzy przyjaciele, księża wszyscy, świeccy i zakonni z biskupem, a z nami kochany nasz lud polski, razem wszyscy, a moje „wejście do owczarni" nie będzie daremne.

Po kapłanach, bez których pomocy nicbym nie podołał, z którymi odważę się na wszystko, liczę na szczerą pomoc całego ogółu polsko-katolickiego. Oczekiwanie to moje do pewnego stopnia uprawniliście, moi drodzy Milwauczanie, bo nie nadaremnie agitowaliście przez lat kilka za polskim biskupem dla Milwaukee, a przyjęcie owacyjne, jakieście mi zgotowali, napełnia mię błogą nadzieją, że z polskim biskupem i klerem, pójdzie razem polski lud! Tak, wy pozostaniecie wierni Stolicy Apostolskiej, z którą odtąd nowy łączy was węzeł—drugi biskup polski. Wy pozostaniecie wiernymi Kościołowi św. rzym. kat. i otoczycie go również, jak Ojczyznę niewygasłą miłością. Wszak „nadprzyrodzona miłość do Kościoła—uczy Leon XIII—i przyrodzona miłość Ojczyzny w gruncie rzeczy są siostrami bliźnięcymi; obie mają tego samego ojca, t. j. Boga".

Jedną jeszcze mam do was prośbę i ufam, że w dniu tym wielkim wspólnej naszej radości chętny dacie swemu biskupowi posłuch.

Żyjemy w czasach, gdy ujadanie na kapłanów należy do dobrego tonu. Ach, bo tylu jest, co się gorszą postępkami kapłana, tylu niestety, co jak faryzeusz, gotowi powtarzać: „dziękuję Ci Panie Boże, że nie jestem jako ten ksiądz!" Tak, wielu gani bez zastanowienia, ostrym nożem niesumiennej krytyki kraje bez miłosierdzia, szerzą plotki, uwłaczają w sposób wszelkiej przyzwoitości urągający czci kapłańskiej, a jak-

że mało, jak bardzo mało takich, którzy się za kapłanami modlą. Upadniesz, ty, bracie, modli się za tobą kapłan, upadnie kapłan, a któż za niego się modli? Niech się tylko któremu pośliźnie noga, a wyje piekło z radości, wtórują mu z gustem liberały, socjały i inne ały. Potrzebujesz pomocy Bożej, jesteś w ciężkiem położeniu, też modli się za tobą kapłan; znajdzie się w takiem położeniu kapłan, któż spieszy mu z pomocą? By wyprosić dobre duchowieństwo, Kościół ustanowił Suche dni. Co kwartał 3 razy w tygodniu wzywa Kościół wierne swe dzieci, aby poszcząc, gorąco się modliły do Niebieskiego Gospodarza, aby ssyłał gorliwych i godnego. Niech się tedy zawstydzą ci, co jak Cham ze swego ojca, pochopni są do naigrawania się z ludzkich ułomności swoich kapłanów,—wy zaś, drodzy moi, módlcie się za nas kapłanów.

A jako za Piotrem modlili się wszyscy wierni, tak i wy gorące ślijcie, błagam was, modły do Pana Zastępów za waszym biskupem, aby mu Bóg raczył błogosławić w jego trudnej apostolskiej pracy. Kler wasz z biskupem, jak ongi Aaron trzymać będzie ręce wzniesione błagalnie ku niebu, aby sprowadzić na wierny lud polski obfitość łask i błogosławieństw. Wy, modłami waszymi podtrzymujcie te ręce. A wasze wołanie nie będzie próżne, ale ułatwi nam życie



Kościół św. Kazimierza i plebanja ze szkołą w Poznaniu.

nych robotników do winnicy Swojej... Iluż między wiernymi spełnia to życzenie Kościoła? A przecież my, kapłani, tych modłów potrzebujemy bardzo! Wierzajcie mi, moi drodzy, że i przy najczystszem i najrzetelniejszem powołaniu i najserdeczniejszem umiłowaniu tych wyżyn niebotycznych, na których ugruntowane jest kapłaństwo Nowego Zakonu, nie tak łatwo jest kapłanowi przenieść przez życie nieskalaną suknię duchowną. A jeżeli to jest prawdą odnośnie do wszystkich kapłanów w ogólności, to o ileż trudniejszem jest położenie kapłana polskiego w tym kraju złotej wolności i szalonej swawoli i wprost prostytucji słowa żywego i pi- w kapłańskie cnoty obfite i sumienne spełnianie trudnych, osobliwie tu w Milwaukee, obowiązków kapłańskich. Módlcie się więc gorąco, abyśmy, księża polscy stali się świętem kapłaństwem, a lud naszej pieczy powierzony przez nas stał się ludem wybranym.

A teraz, dzierżąc w lewicy laskę pasterską, którą w czasie konsekracji otrzymałem, by nią owieczki do owczarni zagarniać, a końcem ostrym szkodniki i nieprzyjacioły odganiać, a w prawicy pektorał, znamię mojego Mistrza i Pana, który mi zawiesił na piersiach konsekrator, aby był mojem godłem i wskazówką całej mojej działalności biskupiej, uroczyście ślubuję

Bogu i wam, stać do upadłego na straży interesów Kościoła św. i Matki Polski. Z hasłem na ustach: Wszystko dla Boga i Ojczyzny przez miłość.

„Jeżelibym cię zapomniał, Kościele i Ojczyzno, niech zapomnianą będzie prawica moja, niech przyschnie język mój do podniebienia mego, jeżelibym nie pokładał Kościoła i Ojczyzny na początku wesela mojego". Amen.

Konsekracja ks. Edwarda Kozłowskiego w Bay City, Mich., 18 stycznia 1914 r.

Jak odczuło całe społeczeństwo katolickie, nietylko polskie, ale też obcoplemienne, poważną uroczystość konsekracji ks. biskupa Edwarda Kozłowskiego, najlepiej zrozumiemy, gdy przyjrzymy się temu, jako ono brało czynny udział w uroczystości konsekracji ks. biskupa. Chociaż zawsze ta uroczystość w kościele katolickim bywa wspaniała i okazała, w danym razie i okazałość i wspaniałość przechodziły wszystko co widziano dotychczas.

Na tę uroczystość przybyło dużo duchowieństwa, liczne delegacje najrozmaitszych organizacji i tłumy ludu.

Konsekracja odbyła się w obszernej katedrze św. Jana wśród niezliczonych w ludu.

Arcybiskupów i biskupów 9, wielu monsignorów i 400 kapłanów przyjechało z rozmaitych krańców Ameryki. Samo niebo, zdaje się, radowało się tej łasce, którą udzielił Ojciec święty polakom amerykańskim, dając im drugiego biskupa. Pogoda sprzyjała uroczystości.

Już o 9-ej zrana ściągały się tłumy ludu, reprezentacja towarzystw społecznych i liczny kler.

Konsekracji dopełnił ks. arcybiskup Mesmer, asystentami byli ks. arcybiskup Weber z Kanady, ks. biskup J. Richter z Grand Rapids. Widzimy wśród kleru najdzielniejszych przedstawicieli, tak kleru obcokrajowego jak i naszego. Wszędzie było widać przedstawicieli prasy i fotografów z aparatami. Ranne pociągi przywiozły masę ludności, która się udała wprost do katedry. O godz. 9-ej minut 30 zjawiła się procesja w bramie plebanji. Ministrantów w czarnych sutannach prowadził mistrz ceremonji, za nimi ks. Chylewski z Gary Ind. z krzyżem procesjonalnym, potem szeregi 50 ministrantów w czerwonych sutannach—później długo ciągnęli się blizko 200 par księży. Za księżmi postępowali dygnitarze kościelni. Biskupi i monsignorowie kroczyli w fioletach, asysta biskupia, a nareszcie sam nominat ks. bis. Kozłowski, mając po jednej stronie ks. biskupa Richtera, który nominatowi przed laty 26 udzielił święceń kapłańskich. Po stopniach katedry wszedł do niej orszak, a zabrzmiały organy i rozległ się śpiew poważny „Ecce Sarcerdos Magnus".

Nie mało przyczynił się do uroczystości wspaniały śpiew. Chór katedralny wykonał artystyczne śpiewy, a chór parafji św. Jacka mszę zwaną „Msza Leona XIII". Ceremonję konsekracji wykonano z nadzwyczajną powagą, a kazanie okolicznościowe, trwające 1½ godziny wygłosił donośnym głosem ks. biskup Schrembs z Toledo. Wspaniała była to chwila, gdy ks. biskup Kozłowski już w mitrze i z pastorałem przechodził przez kościół i błogosławił pobożny lud. Zdawało się, że to głośne „Te Deum laudamus" wyrwało się z samej głębi piersi polskiej. Zdawało się, że cały lud czuł się już dzisiaj tak dotkliwie nie osamotnionym, widząc w swem gronie drugiego biskupa polskiego i rozumiejąc, że tam w Rzymie bije przychylne serce dla Polaków, czujne na potrzeby ich, wielkiego Starca i Namiestnika Chrystusowego na ziemi.

Wieczorem odbył się bankiet wspaniały, urządzony przez komitet obywatelski przy udziale licznie zebranych dygnitarzy kościelnych, kleru i przedstawicieli społeczeństwa polskiego.

Polska katolicka i Polska cywilna część uroczystości odbyła się wieczorem w dzielnicy południowej, zamieszkałej przez Polaków. Tu mieści się z górą 6 parafji polskich, a wśród nich

nieduży, ale wspaniały kościół św. Stanisława, na proboszcza którego przeznaczono ks. biskupa Kozłowskiego.

Wieczorne uroczystości składały się z pochodu wspaniałego do kościoła św. Stanisława, z instalacji ks. biskupa jako proboszcza i bankietu obywatelskiego. Wspaniały był to pochód: czuło się, że cała dzielnica polska, że polski lud składał hołdy swemu pasterzowi. Tyle serca i trudu włożono do urządzenia pochodu, a dlatego udał się on doskonale. Uczestniczyły w nim wszystkie stowarzyszenia polskie—niektóre w całości, a niektóre przez delegacje, uczestniczyły delegacje wszystkich parafji milwauckich. Wszystko to było ustawione po całej drodze, w dwa rzędy, gdzie miała przechodzić procesja. Tłumy ludu już bardzo wcześnie zaczęły się ściągać po drodze, a rosły coraz więcej. Zaledwie szpalery miały siłę utrzymać porządek. Niektórzy obliczają liczbę uczestników na 50 tysięcy. Zdawało się, że na ten dzień nawet ustały niesnaski i kłótnie partyjne, które od dłuższego już czasu szarpały Polonję milwaucką. Radość ogólna i cześć dla tak dawno oczekiwanego pasterza wyrywała się ze wszystkich piersi, a temu ogólnemu uczuciu nie mogły nawet oprzeć się partyjne niesnaski.

Wiele towarzystw wystąpiło w umundurowaniu i strojach narodowych. Widać było grupę dziatwy w krakowskiem ubraniu, a obok trzymana rozpostarta chorągiew papieska.

W uniformach i w uzbrojeniu stawiła się gwardja Kościuszki, która składa się z samych Polaków. Obok, z nią ułani, rycerze św. Sebastjana, św. Marcina, króla Dawida i inni.

Liczne powozy przywiozły deputatów i członków komitetu obywatelskiego.

O 8-mej zabrzmiała muzyka i zbliżył się pochód biskupi na czele z gwardją Kościuszki i ułanami. Aż światło się zrobiło jak we dnie od ogni sztucznych. palonych na całej przestrzeni pochodu. Ułani z dobytemi szablami eskortowali automobil ks. biskupa Kozłowskiego, któremu towarzyszyli ks. arcybiskup Mesmer, ks. biskup Rhode i Monsignor Rainer.

Na plebanji oczekiwał ks. arcybiskup Weber i liczne grono księży.

Wspaniała to była chwila, gdy się pochód zbliżył do plebanji: dźwięk dzwonów kościoła św. Stanisława oznajmił całemu miastu o chwili uroczystej i ważnej dla Polaków, a szczególniej dla parafji św. Stanisława—ingres proboszcza-biskupa.—Przedtem był ks.-biskup proboszczem kościoła św. Jadwigi w Milwaukee, filji kościoła parafji św. Stanisława. Wspaniała procesja z plebanji wprowadziła ks. biskupa do presbyterjum, gwardja Kościuszki ulokowała się przy kratkach presbyterjum, błyszcząc swymi bagnetami.

Krótka, ale rzewna uroczystość ingresu głębokie wywarła wrażenie. Przemowy ks. arcybiskupa Mesmera i ks. bisk. Kozłowskiego zadzierzgnęły te ciasne węzły z parafją, odrazu zdobyły wszystkie serca—i czuło się, że lud z nowym przewodnikiem już będzie iść naprzód w zwycięzkim pochodzie—zdobywania stanowiska honorowego wśród amerykańskiego społeczeństwa i podnoszenia poziomu wiary i moralności wśród ziomków.

Po ingresie uczta, na której przedstawiciele najrozmaitszych stowarzyszeń składali hołdy nowemu dygnitarzowi, a śpiew hymnu narodowego zakończył uroczystość.

Wspaniałe dwie chwile—dwie konsekracje przeżyła Polska amerykańska. Te dwa nowe etapy rozwoju życia religijnego wzmocniły duch i pokrzepiły serce, dając nawet impuls do urzeczywistnienia prastarych polskich ideałów—z polskim księdzem polski lud.

I te dwa zwycięztwa nie łatwo dały się osiągnąć—tak w jednem, jak i w drugiem musiano zwyciężyć wielu nieprzyjaciół, dużo przeszkód przełamać, a już ich dokonanie pobudziło do sta-

rania się o polskich biskupów w innych dzielnicach Ameryki. Brazylja już blizka do urzeczywistnienia swych marzeń.

Tyle o Stanach północno-amerykańskich. Ażeby ten obraz dopełnić, postaramy się naszkicować obraz życia naszych rodaków w innych dzielnicach Ameryki.

Krótki rys innych dzielnic Ameryki.

KANADA.

Północna kraina Kanada jest to ogromna kolonja angielska, zamieszkała przez Anglików, Francuzów, Irlandczyków. W ostatnich czasach zjawiło się dużo Polaków z Królestwa i z Galicji.

Przeważnie ludność zajmuje się rolnictwem, gospodarką leśną, budową okrętów, rybołówstwem, myśliwstwem. Prawodawczą instytucją jest tu parlament, a rządy wykonawcze tej krainy spoczywają w ręku gubernatora, naznaczanego przez króla.

Najbogatszą częścią Kanady i naturalnie najwięcej zaludnioną jest część południowo-wschodnia, t. j. ta część, która niegdyś należała do Francji, dlatego język francuski dziś jeszcze panuje tam obok angielskiego, a dużo mieszkańców wyznaje wiarę katolicką. W tej części, dawniej francuskiej, klimat jest łagodniejszy i tu znajdują się większe miasta: Montreal (300.000 mieszk.), Torenta (230.000 mieszk), Ottawa (60.000). Ostatnia jest główną siedzibą władz kanadyjskich.

Najwięcej Polaków i Rusinów widzimy w prowincji Manitoba, której stolicą jest miasto Winnipeg. Tu się nawet wydaje przez Anglików polski tygodnik „Gazeta katolicka".

W prowincji tej, wśród osadników polskich więcej jeszcze jest Rusinów aniżeli Polaków, dlatego osiedlił się tu i zorganizował kler rusiński.

ARGENTYNA.

Prowincja ta leży w Ameryce Południowej, na południe od Brazylji. Jest ona rzecząpospolitą; mieszkańcy przeważnie trudnią się rolnictwem i hodowlą bydła, koni i owiec. Klimat dobry—na północy ciepły, a dalej na południu zimniejszy. Lato wypada tam wtedy, gdy u nas zima i na odwrót. Prawie cała ludność katolicka używa języka hiszpańskiego, ale jest wśród niej bardzo dużo żydów, którzy wcisnęli się nawet do rządu i gospodarowali po swojemu, rujnując kraj. Głównem miastem Argentyny jest Buenos Ayres, które liczy miljon dwieście tysięcy mieszkańców, przy ogólnej liczbie mieszkańców w całej Argentynie 7 miljonów. Buenos Ayres ma port, gdzie przybijają okręty europejskie.

W całej Argentynie prawie niema fabryk, dlatego kraj ten dla robotników, poszukujących pracy nie nadaje się. Niewygodny też jest dla rolników, którzyby chcieli nabyć własny kawał ziemi, dlatego, że lepsze grunta już stanowią własność prywatną, a rząd sprzedaje tylko gorsze, leżące daleko od centrów zamieszkania i w miejscowościach z nieodpowiednim klimatem. Mogą znaleźć tylko pracę rzemieślnicy i sezonowi robotnicy rolni, ale tylco wśród naszej zimy, bo wtedy w Argentynie odbywają się prace rolne.

W Buenos Ayres istnieje towarzystwo polskie.

BRAZYLJA.

Królestwo, a szczególniej Chełmszczyznę od paru lat trawi gorączka wychodźtwa do Parany—ogarnia ona coraz nowe wioski i osady. Odrywając masę ludu od ogniska domowego, ciągnie go ślepo na obczyznę. Sprzedawali nasi ziomkowie swe siedziby ojczyste, grunta i budynki i udawali się w zamorskie kraje, szukając tam zarobków

łatwych. Niestety, nie otrzeźwiły tych tułaczy tłómaczenia ludzi oznajmionych ze stosunkami, że nie łatwo tam o zarobek. Ludzie złej woli oszukiwali lud nasz, myśląc w ten sposób dorobić się, czy przez pośrednictwo przy wyjeździe, czy nareszcie tanio kupując pośpiesznie sprzedawaną gospodarkę. Jakich środków nie wymyślano, aby lud obałamucić! A jednocześnie lud nie dał sobie na miejscu wytłómaczyć szalonego kroku i ciągnął do Brazylji; na szczęście w ostatnich czasach wstrzymała nieco lud polski ta okoliczność, że rząd brazylijski już przestał dawać emigrantom bezpłatną podróż przez ocean.

Ciemny był ten lud, wierzył w te bajki, któremi go karmiono. Czego to nie opowiadano naiwnym! Jedni mówili, że ową Paranę „wygrał Ojciec święty", inni znów, że wyciągnęła ją Matka Boska z za mgły, żeby darować ludowi polskiemu.

Najczęściej ci, co jechali, nie mieli o niej najmniejszego pojęcia. Jechali do Krakowa, lub do Hamburga nasi tułacze bez gotówki, bez adresu, a nawet tyle nie wiedzieli o nowym kraju, że ze łzami w oczach w biurze „Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego" błagali, aby nie wysyłano ich do Brazylji, lecz do Parany. Inni znów zaklinali się, że w ich gminie otrzymano list od Ojca świętego, że nie mają prawa brać od nich pieniędzy za podróż koleją.

Dlatego „Polskie Towarzystwo Emigracyjne" wydało w pierwszym roku swego istnienia książkę ze wszystkiemi potrzebnemi wiadomościami o Brazylji, niestety, mało wśród ludu rozpowszechnioną.

Republika brazylijska, której pojedyńcze prowincje (Stany) noszą rozmaite nazwy, obejmuje ogromną przestrzeń, przeszło 8 miljonów kilometrów (prawie wiorst) kwadratowych. Zajmują te stany wschodnią i środkową część Ameryki Południowej.

Ponieważ bardzo wielkie obszary obejmuje Brazylja, nic dziwnego, że i klimat i zdrowotne warunki w niej są bardzo rozmaite. W północnej części ogromne upały, które z trudnością przenosi ludność słowiańska, na południu gorąco mniej dokuczliwe, a na płaskowzgórzach położonych wysoko nad powierzchnią morza, klimat umiarkowany i zdrowy. Język urzędowy w Brazylji portugalski; wyznają mieszkańcy przeważnie wiarę katolicką.

Organizacja Brazylji podobna do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Prawa Brazylji bardzo dobrze ułożone i zapewniają każdemu wolność i równość, lecz niestety, prawa te nie zawsze przestrzegane są przez urzędników, wśród których dużo samowoli i przekupstwa.

Dla wszystkich stanów istnieje wspólny parlament w stolicy związkowej Rio de Janeiro, a na czele całego państwa stoi wspólny prezydent.

Każda prowincja posiada bardzo szeroki samorząd. Rządzi nią własny sejm i własny dla każdego stanu prezydent.

Dla wychodźtwa polskiego mogą się nadawać tylko trzy stany brazylijskie: Parana, Rio Grande do Sul i Santa Catharina. Najwięcej Polaków w Paranie, gdzie ich liczą do 100 tysięcy. Pierwsze osady polskie powstały tutaj jeszcze przed 40 laty, a obecnie przeważnie rolnictwo znajduje się w polskiem ręku. Polacy stanowią w tych stanach $\frac{1}{4}$ część ludności i mają własne kościoły, szkoły i towarzystwa. Główny port Parany nazywa się Paranagua; stolicą stanu jest Kurytyba, gdzie wychodzą dwie gazety polskie.

W prowincji Rio Grande do Sul, położonej na samem południu, klimat jest zdrowy, gleba równie urodzajna, ale tam znacznie mniej Polaków, do 20 tysięcy. Niestety, nie wszyscy Polacy żyją tu skupieni, ale są rozsypani wśród kolonistów: Niemców, Włochów i Portugalczyków. Główne miasto nazywa się Porto Allegre, główny port Rio Grande do Sul.

Trzecia prowincja, św. Katarzyna, najmniejsza w Brazylji, jakby zaciśnięta wśród pierwszych dwóch — przeważnie zajęta przez Niemców. Oni są

panami tego kraju, rządzą według swego upodobania, zabrali sobie najlepsze grunta, a Polakom oddają najgorsze i najnieodpowiedniejsze.

Sam rząd brazylijski prowadzi kolonizację w tych prowincjach, a chcąc je zasiedlić, daje osiedleńcom znaczne obszary gruntów (około 50 morgów każdemu koloniście) na spłaty ratami. Odrazu koloniści nic nie płacą, a nawet dostają zapomogę w nasionach i narzędziach rolniczych, a dopiero po pięciu latach zaczynają płacić raty. Działki, nadawane przez rząd w nowo zakładanych kolonjach nie mają wcale ziemi, któraby odrazu odpowiednią była do uprawy. Pokrywa ją las, który trzeba wycinać, zanim się przystąpi do pracy rolnej. Praca to bardzo trudna, a życie bardzo niewygodne i samotne—nim się urządzi kolonję. Zaledwie po kilku latach będzie miał osadnik dobrobyt i będzie mógł trochę spocząć. Dorobić się z czasem tu można, ale trzeba przezwyciężyć dużo trudności, daje się tu mocno odczuwać brak dobrych dróg, wielka odległość od miast, mrówki, albo nawet czasami szarańcza, która często nawiedza Paranę.

Niestety, całą kolonizację prowadzi rząd bardzo niedołężnie; pomiary ziem wykonywują się tak powolnie, że najczęściej brakuje dla przesiedleńca gotowych działek, wskutek tego emigranci muszą wyczekiwać długie miesiące w licho urządzonych barakach, a te warunki nienormalne powodują różne choroby, dziesiątkujące przybyszów.. Nie ciekawe są warunki tej emigracji, a zapewne, gdyby każdy z emigrantów wiedział naprzód o tych trudnościach, niktby się nie odważył na uciążliwą i niebezpieczną podróż.

Później w ,,Naszych kościołach'' poznajomimy czytelników z życiem dalekich od kraju parafji polskich.

Ks. Józef P. Chodkiewicz

Posen, Mich. 13.V.1914 r.



Spis rzeczy.



Mapa kościelna Stanów Z